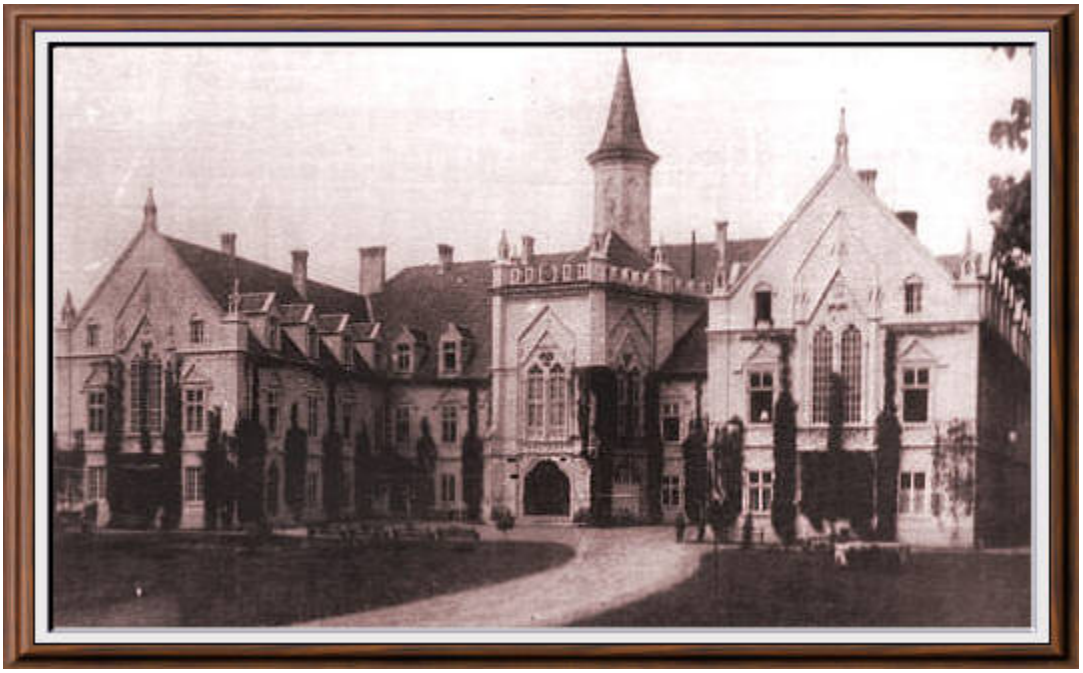
Tarnowscy z Dzikowa



Rezydencja Tarnowskich w Dzikowie. Elewacja południowa zamku w 1925 r. niedługo przed wybuchem pożaru Źródło: Zamek Tarnowskich w Dzikowie, A. Janas, A. Wójcik, Tarnobrzeg 1994 .



Rezydencja Tarnowskich w Dzikowie. Zamek w 1927 r. po wybuchu pożaru. Źródło: Zamek Tarnowskich w Dzikowie, A. Janas, A. Wójcik, Tarnobrzeg 1994 .

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Wierni Bogu, Ojczyźnie i Rodzinie, ufni w opiekę

Matki Boskiej Dzikowskiej

Dzieje polskich rodzin arystokratycznych to temat rzeka. Pokolenie, urodzone w pałacach i w wielkich latyfundiach, wychowane pośród unikatowych dzieł sztuki, dobrze pamięta okres dawnej świetności swoich rodzin. Ludzie ci musieli wyrzec się wszystkiego, co tworzyło ciągłość oraz wielusetletnią tradycję rodzinną i opuścić swoje siedziby, nie mogąc zabrać nawet pamiątek. Wyjechali na tułaczkę z przysłowiową jedną walizką *(walizka Róży Siemieńskiej, pokazana została na wystawie „Raj utracony, raj odzyskany" w Montrealu w 2006 r.).* Wielu z nich

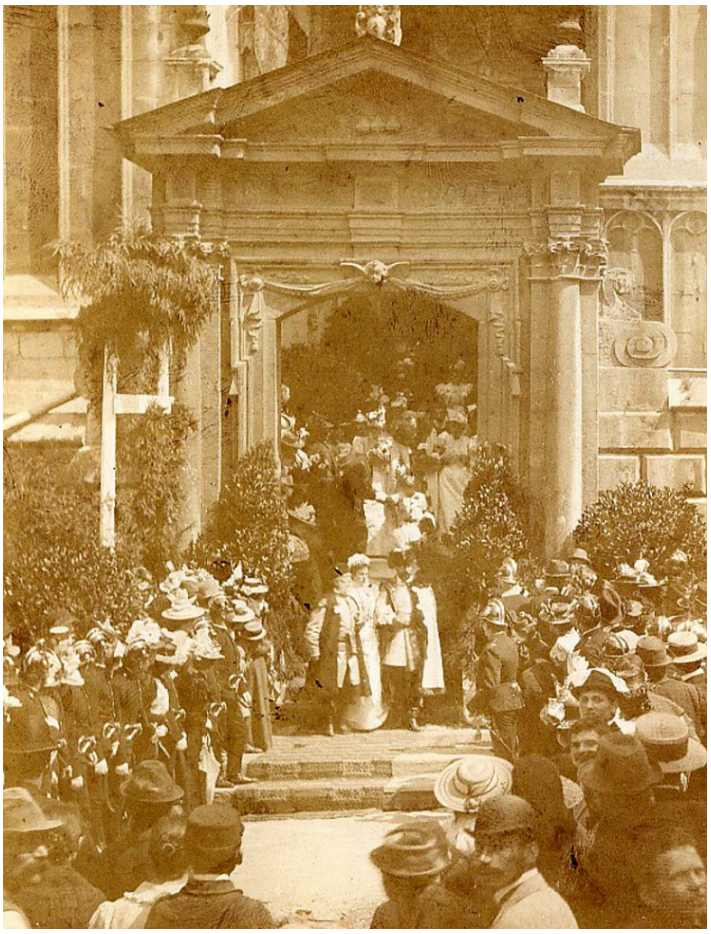
osiadło za granicą, aby rozpocząć historię rodziny od nowa, poza granicami kraju.

Artur Tarnowski (1903-1984). ostatni pan na Dzikowie był synem Zdzisława i Zofii z Potockich. Gruntownie wykształcony, pełnił, poza zajmowaniem się administracją Dzikowa, liczne funkcje publiczne, m.in. był posłem na Sejm Rzeczpospolitej. Jego żona Róża Tarnowska (1911 – 2005) była córką Maurycego Zamoyskiego, czołowego polityka II Rzeczpospolitej, m.in. ministra spraw zagranicznych. Artur Tarnowski zmobilizowany we wrześniu 1939 roku, 24 września dostał się do niewoli pod Zamościem. Jednak tego samego dnia uciekł i przedostając się lasami, 27 września dotarł do Dzikowa. Na zamku kwaterowali Niemcy, którzy ciężko chorej Róży Tarnowskiej i dzieciom zostawili kilka pokoi w skrzydle. Artura Tarnowskiego od razu nie aresztowano, ale oświadczono mu, że gdyby uciekł natychmiast zostaną rozstrzelane żona i dzieci. 6 października Niemcy go wywieźli. Od tego czasu przebywał w oflagu. Róża Tarnowska musiała sama zarządzać olbrzymim majątkiem. Do tego cały czas pomagała żołnierzom podziemia. W 1944 roku wraz z czwórką małoletnich dzieci: Marią (12 lat), Janem (11 lat), Marcinem (9 lat) i Pawłem (7 lat) musiała opuścić Dzików. Artur Tarnowski, po wyzwoleniu z oflagu, wstąpił do I dywizji pancernej gen. Maczka, w której starszy brat Artura, Jan, był adiutantem generała. Aby dołączyć do męża, Róża Tarnowska wraz z dziećmi wyjechała z Polski przez zieloną granicę. Spotkali

się w Meppen w Niemczech. Po demobilizacji w 1947 roku cała rodzina przeniosła się do Brukseli, a w 1951 r. Artur i Róża Tarnowscy wraz z dziećmi wyemigrowali do Kanady i zamieszkali w Montrealu. Tak jak wielu przedstawicieli ich środowiska, wychowywani w skromności i poszanowaniu dla innych, przystosowali się do warunków na obcej ziemi i do samodzielnej walki o egzystencję, chodź na początku było im bardzo trudno. Przechodzili taką samą drogę, jak wielu innych emigrantów. Ale nie poddali się.



Artur i Róża hr Tarnowscy po ślubie, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.



Wyjście z Katedry na Wawelu po ślubie Zdzisława hr Tarnowskiego i Zofii z hr Potockich, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Tarnowscy z Dzikowa herbu Leliwa mają w swoich szeregach wielu wybitnych przedstawicieli – słynnego hetmana Jana Tarnowskiego, historyka literatury polskiej i rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego Stanisława Tarnowskiego, czy poetę dramaturga i kompozytora – Władysława Tarnowskiego.

Zamek w Dzikowie został zbudowany w XV wieku, pełnił wówczas funkcje tylko wieży obronnej. W 1522 roku Dzików kupili Tarnowscy od rodziny Ossolińskich i powoli zaczęli go rozbudowywać. Rodzinna rezydencja Tarnowskich znajdowała

się wówczas w Wielowsi, która należała do nich od 1330 roku. Gdy jednak w poł. XVII wieku Wielowieś została kompletnie spalona przez wojska szwedzkie, zamek w Dzikowie został obrany na rodowe gniazdo i przebudowany. W XVIII w. w Dzikowie odbyła się tzw. konferencja dzikowska zawiązana w celu obrony tronu polskiego dla króla Stanisława Leszczyńskiego (1734). Jednak nie powiodło się utrzymanie tronu, a król musiał wyemigrować do Francji.

Kolejna przebudowa zamku miała miejsce po 1830 r. za czasów Jana Feliksa Tarnowskiego. Powstał pałac w stylu neogotyckim według projektu architekta Franciszka Marii Lanciego. Zmianom poddano także system zamkowych fortyfikacji, zasypano część fos i utworzono park z romantycznymi mostkami. Całość otaczało żelazne ogrodzenie.



Artur i Róża hr Tarnowscy z paziami, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Ten piękny obiekt został w dużej części zniszczony podczas pożaru, w 1927 roku. W ratowaniu cennych zbiorów i pamiątek brała udział pod kierownictwem Dr. Marczaka ludność z okolicy oraz młodzież z pobliskiej szkoły. Niestety, mimo specjalnych konstrukcji zabezpieczających zawalił się ogniotrwały sufit w Wielkiej Sali i zabił tam dziewięciu bohatersko ratujących zbiory. W 1931 r. pałac odbudowano, ale nadano mu już inny wygląd.

Pracami kierował Wacław Krzyżanowski, który zaproponował przebudowę w stylu wczesnobarokowym.

Podczas II wojny światowej zamek nie uległ zniszczeniu, ale po wojnie, w 1945 roku został skonfiskowany wraz z całym majątkiem przez ówczesne władze. Utworzono w nim istniejącą do niedawna szkołę techniczną, a kaplica zamkowa służyła za zwykłą salę lekcyjną. W 2001 r. przywrócono kaplicy jej dawną funkcję i została oddana pod opiekę oo. Dominikanów.



Ślub Artura i Róży hr Tarnowskich. Jan hr Zamoyski i Andrzej hr Tarnowski w kontuszach, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Historia Dzikowskich Zbiorów

Właściciele dóbr – Jan Feliks Tarnowski, senator Królestwa Polskiego (wychowany w atmosferze Sejmu Czteroletniego przez dziadka Stanisława Małachowskiego) i jego żona Waleria ze Stroynowskich, w tragicznym dla Polski 1830 r., postanowili przenieść się na stałe z Warszawy do Dzikowa. I tu chcieli stworzyć kolekcję pamiątek narodowych. W odnowionej siedzibie Tarnowscy zgromadzili wspaniałe zbiory. W XIX w. było tu 250 obrazów, m.in. Tycjana, Rubensa, Rembrandta, Van Dycka Malczewskiego, Matejki. Kolekcję uzupełniał zbiór miniatur Vincentego Lesseur oraz szereg obrazów staropolskich i portretów rodzinnych, wykonanych przez malarzy polskich z tej epoki. Archiwum i biblioteka, gdzie znajdowały się ważne dokumenty, dotyczące historii Polski i rodziny oraz wartościowe starodruki i rękopisy sprawiały, że zbiory Dzikowskie były jednymi z najciekawszych i najpiękniejszych w Polsce. To właśnie w Dzikowie przechowywano najstarszy rękopis „Kroniki Polskiej" Galla Anonima, pierwszy odpis Bogurodzicy, oryginał „Kronik" Wincentego Kadłubka i Statutów Wiślickich czy rękopis „Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza.

Jeszcze przed I wojną światową słynna stała się sprawa obrazu Rembrandta „Lisowczyk", jednego z najcenniejszych obrazów w Polsce, który znajdował się w dzikowskiej kolekcji Tarnowskich, sprzedanego i wywieziony do Nowego Jorku w 1910 r. Pisze o

tym Artur hr Tarnowski w artykule *„Prawda o zbiorach dzikowskich”,* opublikowanym w „Kulturze paryskiej” w 1959 roku.

> …Aby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego podjęta została przez rodzinę taka decyzja, trzeba pamiętać, że żyli oni wtedy w innej epoce. Żyli pod zaborami. Tendencją narodową było wtedy nie sprzedanie ani piędzi ziemi obcemu, a jeżeli możliwe, wykupywanie jej, by w ręce polskie znowu wróciła. Wtedy ziemia w rękach polskich była problemem znacznie ważniejszym, niż posiadanie nawet najcenniejszego płótna Rembrandta. To był punkt widzenia narodowy, nie wszystkich może, ale bardzo wielu Polaków.
>
> Grał tu także sentyment rodzinny do „puszczy”, która przez długie wieki, w części co prawda, do rodziny należała, a utracona została w konsekwencji przejęcia jej po rozbiorach przez zaborcze władze austriackie.

Tak więc „Lisowczyk” został sprzedany, aby pieniądze można było przeznaczyć na wykup okolicznych ziem, które mimo, że nie leżały w zaborze pruskim, dotknięte były germanizacją.

> Dziś po pięćdziesięciu przeszło latach, może inaczej sprawa

> wygląda. – pisze dalej hr Tarnowski. – Ziemia nadal jest w Polsce i polska. Nie ma żadnych właścicieli, ani Tarnowskich od 18 pokoleń osiadłych w Wielowsi, a od 13 w Dzikowie. (…) Lisowczyka oglądać można u Frick'a w New Yorku, a autoportret Rembrandta, drugi obraz tego malarza ze zbiorów dzikowskich i inne cenne pamiątki zostawione przeze mnie w polskim Lwowie – gdzie są? – Czy do Polski wrócą? – przyszłość pokaże.

Artur Tarnowski w artykule opisuje też losy innych dzieł sztuki.

> W Ameryce, poza Rembrandtem, znajduje się także inne dzieło sztuki, nabyte przez Jana Feliksa i Walerię Tarnowskich. (…) Chodzi tu o wielkich rozmiarów rzeźbę dłuta Canovy, przedstawiającą „Perseusza". Rzeźba ta kupiona od Canovy, przewieziona została morzem do Odessy, skąd wołami dociągnięta do Horochowa. Tam ustawiona, po kilku latach swoim ciężarem spowodowała pękanie murów pałacu, wobec tego zdecydowano ją sprzedać i do Dzikowa, do którego była przeznaczona nie przewozić. „Perseusz" stał następnie przez szereg lat u Potockich w Wilanowie, w nadziei, że się znajdzie nań kupiec w Polsce. Dziedzicem jej był Juliusz Tarnowski, najmłodszy brat mojego dziada i prof. Stanisława. Gdy Juliusz zginął w Powstaniu 1863, rzeźba przeszła na braci. Oni, po wyjściu Stanisława z kilkuletniego

> więzienia w Ołomuńcu za współudział w Powstaniu, sprzedali ją w Wiedniu. Profesor Tarnowski za pieniądze uzyskane z tej sprzedaży nabył coś, co dla każdego Polaka jest stokroć cenniejsze niż rzeźba słynnego Canovy. Nabył od syna Mickiewicza, który był w Paryżu w poważnych trudnościach finansowych, rękopis „Pana Tadeusza”. W kilkadziesiąt lat później, gdy z kolei Hieronim, syn prof. Stanisława, potrzebował gotówki, ojciec mój (Zdzisław – przyp. red.) odkupił „Pana Tadeusza” do zbiorów dzikowskich, gdzie był, aż do wybuchu wojny, troskliwą opieką otaczany.



Wjazd pociągiem do Dzikowa, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Za czasów Zdzisława Tarnowskiego i jego żony Zofii z Potockich (rodziców Artura hr Tarnowskiego) cenne zbiory dzikowskie, nadal się powiększały.

> (…) nadmienię teraz – pisze dalej w artykule dla „Kultury paryskiej” Artur Tarnowski – że do zbiorów dzikowskich przybyły za życia mojego ojca i inne cenne przedmioty. Został nabyty w Wiedniu piękny portret młodzieńca, malowany przez Joast Sustermans’a, którego reprodukcja, figurująca na str. 81 książki pióra pani Grottowej, każe przypuszczać, że został nabyty przez Jana Feliksa i Walerię Tarnowskich. Od J. Borkowskiego nabył mój ojciec także „Stado Hetmańskie”, chyba najpiękniejszy obraz pędzla Juliusza Kossaka. Nie wiem skąd, ale przybyły też dwa olejne szkice Matejki. Zawisło też na ścianach wiele portretów i obrazów malowanych przez J. Malczewskiego, Juliusza i Wojciecha Kossaków, Pochwalskiego, (miniatury) Dąbrowskiej i innych polskich malarzy. Nie na tym koniec. Śp. Matka moja bardzo interesowała się biblioteką dzikowską. Całe swoje życie nabywała stare, ale i współczesne książki, by uzupełnić bibliotekę dzikowską. Czy są na to dowody w aktach dzikowskich, które znajdują się obecnie na Wawelu, nie wiem. Pewnie ich nie ma, bo matka moja książki nabywała głównie przez księgarnie Krzyżanowskiego, oraz Gebethnera i Wolfa w Krakowie, a kupując płaciła zaraz gotówką.

O kolekcji dzikowskiej dalej pisze Artur Tarnowski:

> Pożar bardzo wiele zniszczył, ale to, co zostało, pieczołowicie znowu skatalogowano. Książki i archiwum opracował dr Marczak. Obrazy wszystkie były spisane, a spis uzupełniony fotografiami., które wykonał fotograf z Krakowa, o ile mnie pamięć nie myli, specjalista z „Ilustrowanego Kuriera Codziennego". Może więc tam uchowały się fotografie obrazów dzikowskich, jeżeli katalog dzikowski nie istnieje.

W czasie wojny bezcenne skarby kultury narodowej i europejskiej zostały przez Artura Tarnowskiego starannie ukryte w Dzikowie, a także zdeponowane w Muzeum Narodowym w Warszawie i Ossolineum we Lwowie.

> Gdy wiosną 1939 roku sytuacja międzynarodowa stała się coraz bardziej naprężona – pisze Artur Tarnowski – ustaliłem ze śp. Dr Michałem Marczakiem, ostatnim bibliotekarzem dzikowskim, co i jak należy przygotować na ewentualność wojny. (…) Mobilizacja została ogłoszona. Włożyłem mundur i wyjechałem. Nowe obowiązki wojskowe nie pozwalały mi naturalnie działać w Dzikowie. Ósmego września wieczorem dostałem rozkazy do przekazania w Rzeszowie – Stalowej Woli i w Baranowie, co pozwoliło mi na wstąpienie do Dzikowa w ciągu dnia 9-go września. Byłem w domu zaledwie kilkanaście godzin, ale wystarczyło mi to, by

spowodować załadowanie na furmanki folwarczne wybranych uprzednio z dr Marczakiem najcenniejszych archiwaliów, ksiąg i obrazów i wywiezienie ich na odlegle od dróg komunikacyjnych leśnictwo. (...) Wiedząc, że mam jechać przez Lwów, by zameldować się w moim dowództwie zabrałem ze sobą do samochodu szereg najcenniejszych przedmiotów, a mianowicie: autoportret Rembrandta, portret Izabeli Austriackiej, żony Krystiana króla duńskiego, malowany przez Jana Gossart, zwanego Mabuse, (...) całą kolekcję miniatur dzikowskich. Poza tym do tej samej skrzyni zostały przeze mnie włożone: „Kronika Kadłubka", kopia z XV wieku Statutu Wiślickiego, znana pod nazwą „Kodeksu dzikowskiego", także rękopis „Pana Tadeusza" oraz inne cenne przedmioty jak: karabela i buława Hetmana Tarnowskiego, pergamin podpisany przez Karola V, przyznający Hetmanowi tytuł comesa, tabakierka marszałka S. Małachowskiego, ofiarowana mu przez Fryderyka Augusta z jego miniaturą oraz zegarek, który miał przy sobie ks. Józef, gdy utonął w Elsterze.

Wszystkie te wymienione przedmioty przewiozłem do Lwowa i w nocy z 10-go na 11-go września, nie mogąc samemu złożyć ich w Ossolineum, powierzyłem przyjacielowi rodziny od trzech pokoleń, śp. Mecenasowi M. Bilikowi.

Inną część zbiorów zabezpieczyła Róża Tarnowska, gdy sztab niemiecki opuścił zamek. Udało się zamurować w suchych piwnicach pod zamkiem i w grobowcach pod kościołem najcenniejsze części archiwum i biblioteki. Obrazy i inne zabytki zostały ściągnięte z leśnictwa i przekazane w depozyt do Muzeum Narodowego w Krakowie.

Z notatki, która ukazała się we „Frankfurter Zeitung" w styczniu 1940 r. Artur Tarnowski domyślił się, że skrzynie zdeponowane u mecenasa Bilika we Lwowe, zostały przekazane do Ossolineum, a tam zostały znalezione przez bolszewików.

> Pamiętam, że do żony zaraz napisałem kartkę jeniecką mniej więcej tej treści: Pan Tadeusz zdrowy, jest u Ossolińskich, zacny Mikołaj dobrze się nim opiekował, oby dalej Panu Tadeuszowi zdrowie dopisywało. – pisze Artur Tarnowski w artykule. – Od tej pory mało na ten temat z żoną korespondowałem. Dopiero po 22 czerwca 1941 roku, gdy wybuchła wojna niemiecko-rosyjska, zacząłem pisać listy, w którym pełno było o Tadeuszu, Kadłubku, Wiślickim, Izabeli (nazwiska Rembrandta nie używałem, bojąc się by cenzura nie rozszyfrowała), prosząc by jechała do nich, bądź starała się o ich powrót. Rezultatem starań żony, po zajęciu Lwowa, był powrót miniatur do Dzikowa. Innych rzeczy nie udało się wydostać z Ossolineum. (…) Tak wyglądały sprawy do 3-go

> sierpnia 1944 roku, to jest do chwili wkroczenia do Dzikowa wojsk Związku Sowieckiego. Żona moja z dziećmi zmuszona była opuścić Dzików. Zabrać z sobą nic nie mogła.

Zbiorami opiekował się wówczas dr Michał Marczak, ale

> ciężki musiał być bardzo ten ostatni okres w Dzikowie dla dr Marczaka. Wchodzące wojska sowieckie w jego oczach robiły zniszczenia. Np. siodło i rząd Hetmana Tarnowskiego zniszczone zostały zupełnie. Gdy pierwszy impet minął, zniszczeń więcej nie było, ale za to ustalające się pomału nowe władze w mieście Tarnobrzegu brały co im było potrzebne z mebli do urządzania biur i mieszkań. Kto zajmował się, względnie kto opiekował się pozostawionym w Dzikowie zbiorami po śmierci dr Marczaka – nie wiem.

Po wojnie zbiory przejęły różne instytucje państwowe, do zamku w Łańcucie trafiło ok. 500 eksponatów z Dzikowa, a do Muzeum w Rzeszowie ponad 80. Znikoma tylko część zdeponowana została na zachodzie, sporo jednak zaginęło bez śladu wraz z zagarniętymi przez Sowietów wschodnimi terenami Polski.



Zdzisław hr Tarnowski (ojciec) w kontuszu, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.



Artur hr Tarnowski (syn) w kontuszu, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Jeszcze przed wojną powstał pomysł, aby stworzyć Muzeum i Bibliotekę Tarnowskich, instytucję podobną do Muzeum Czartoryskich w Krakowie, czy Ossolineum we Lwowie, aby zbiory służyły większej części społeczeństwa, niż gdy tworzą część zbiorów prywatnych. Muzeum takie miałoby powstać w dużym mieście, będącym centrum kultury. Jednak wojna przerwała plany. Po wojnie natomiast Artur Tarnowski pragnął zrealizować ten pomysł i przez wiele lat starał się, aby scalić zbiory dzikowskie i zgromadzić je w jednym miejscu w Polsce. Korespondował z prof. Stanisławem Lorentzem i z innymi

osobami, które mogłyby podjąć stosowne decyzje.

> To co zostało w moim ręku – pisał – tj. zaledwie miniatury, z radością ofiarowałbym Polsce, gdyby połączone zostały razem z resztą zbiorów dzikowskich i suskich rozproszonych po muzeach, bibliotekach i archiwach polskich i gdyby utworzona z nich została jedna całość np. w Krakowie w Muzeum Narodowym i nazwane po wieczne czasy zbiorami Tarnowskich z Dzikowa i Suchej.

Wszystkie te zabiegi były niestety, bezskuteczne. W 1975 r. Artur Tarnowski stracił wzrok i musiał zaprzestać walki o scalenie zbiorów dzikowskich. Tak więc 108 miniatur z przedwojennego Dzikowa, przywiezionych do Belgii przez jego siostrę, Zofię Potocką, zdecydował się podarować Muzeum Polskiemu w Rapperswilu, w Szwajcarii.

Artur Tarnowski zmarł 19 grudnia 1984 r. w Montrealu. Spadkobiercą stała się wówczas jego żona Róża z Zamoyskich Tarnowska, którą we wszelkich prawnych czynnościach reprezentował najstarszy syn Jan A. Tarnowski. Obydwoje przejęli więc misję odzyskania i scalenia dzikowskich zbiorów. Po zmianach ustrojowych w Polsce w 1990 roku wydawało się, że nadszedł czas, gdy wieloletnia walka o zbiory będzie mogła się zakończyć. Rozmowy Jana A. Tarnowskiego w muzeach,

archiwach i bibliotekach doprowadziły do tego, że zostały podpisane umowy depozytowe z wieloma instytucjami (Ossolineum we Wrocławiu – rękopis „Pana Tadeusza”, Biblioteka Narodowa w Warszawie – 4 tysiące starodruków, Biblioteka Jagiellońska – rękopisy dzikowskie). Z podobnymi umowami depozytowymi z Muzeum w Łańcucie oraz w Rzeszowie sprawa okazuje się trudniejsza i decyzje od wielu lat są rozstrzygane sądownie.

W 2003 roku Minister Kultury wyraził zgodę na utworzenie w zamku dzikowskim muzeum. Od 2006 do 2011 trwały prace remontowo-budowlane w zamku, a odzyskiwane eksponaty powoli wracały do nowego Muzeum Tarnowskich w Dzikowie. Po śmierci matki, w 2005 roku, Jan A. Tarnowski dalej walczył o scalenie wszystkich zbiorów w Dzikowie.



Chorągwie Jana i Spytka Tarnowskich pod Grundwaldem w 1410 r.

Zjazd rodzinny i Związek Tarnowskich

Druga Wojna Światowa rozproszyła rodzinę Tarnowskich po całym świecie. W latach 90. po zmianach ustrojowych, kiedy można już było przyjeżdżać do Polski bez ograniczeń, coraz częstsze się stały wielkie zjazdy rodzinne. W 1996 roku, dzięki inicjatywie Jana A, Tarnowskiego, zwanego „Głową” ponad stu członków rodziny Tarnowskich po raz pierwszy od czasów wojny

zjechało się do Dzikowa. Wtedy powstał pomysł utworzenia rodzinnego stowarzyszenia czyli Związku Rodu Tarnowskich. Projekt stworzenia związku powierzono mieszkającemu w Ottawie najmłodszemu synowi Artura Tarnowskiego – Pawłowi. Związek został oficjalnie zarejestrowany w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie w 1998 r. Paweł Tarnowski pełnił funkcję prezesa. Jego brat, średni syn Artura Tarnowskiego – Marcin, zajmował się genealogią.

Powstała strona internetowa: www.rodtarnowski.com, pomaga w utrwalaniu i nawiązywaniu kontaktów rodzinnych. Głównymi celami Związku, o czym informuje statut, są m.in.: *utrzymywanie i wzmacnianie więzów rodzinnych, zachowywanie i przekazywanie następnym pokoleniom tradycji, dziedzictwa kulturowego oraz wartości, którym Ród Tarnowskich był zawsze wierny, popieranie i organizowanie działalności dla dobra Rodziny i Polski, pomoc członkom Rodziny w potrzebie, popieranie, stosownie do możliwości finansowych jak i wszelkich innych, wydawania pamiętników rodzinnych o wartości kulturalnej lub historycznej, opiekowanie się dziedzictwem kulturowym, historycznym oraz artystycznym Rodu Tarnowskich herbu Leliwa.*

Związek wydaje Biuletyn, w którym zamieszczane są zarówno informacje historyczno-genealogiczne, jak i współczesne oraz informacje o ważnych wydarzeniach rodzinnych i działalności

Związku. Związek otacza opieką młodych przedstawicieli rodu, zdolnym funduje stypendia, organizuje wyjazdy zagraniczne, pobyty w różnych miejscach w celu poznania się, a także opiekuje się seniorami, którzy potrzebują pomocy.

> Powodzenie pierwszego zjazdu i 4 lata później następnym razem zbliżenie się znów członków rodziny, potwierdziło że lata wojny, komuny i emigracji nie zniszczyły naszego ducha, i że tak jak dawniej nasi przodkowie, my też, gdziekolwiek żyjemy, gotowi jesteśmy sięgnąć ponownie do gwiazd..
>
> Marcin J. Tarnowski



Zjazd rodu Tarnowskich w Dzikowie w 2003 roku.

Opowieść Marcina Tarnowskiego (1935-2009) o swoim życiu na emigracji, rodzinie i rodzinnych wartościach ukaże się w środę, 11 stycznia 2017 r.

Medgidia, miasto u kresu: Ćwiczenia z pamięci.

Barbara Lekarczyk-Cisek



Proza Cristiana Teodorescu ma urodę wschodnich miniatur – precyzyjnie zarysowanych mikroopowieści, w których za anegdotą skrywa się filozoficzna refleksja. Jako całość są one jednak ćwiczeniami z pamięci, którą w latach pięćdziesiątych skutecznie zacierano. Podobnie jak w Polsce.

Żebracza apokalipsa

Teodorescu przedstawia świat małego miasteczka, które dotyka apokalipsa – wojenna, ale także apokalipsa dwóch totalitaryzmów. Przedstawia ją w jednym z opowiadań na swój specyficzny sposób. Otóż opowiada o dwóch dworcowych żebrakach: Kulawym Prztyczku i ślepym paralityku Marcelu, którzy podzielili między siebie rewir dworca. Wszystko szło zgodnie z umową, kiedy pewnego dnia pojawił się trzeci – „żebrak apokalipsy" – dobrze zbudowany mężczyzna, który podpierając się kulą, defilował wzdłuż wagonów, informując pasażerów o nadchodzącym końcu świata:

> Koniec świata puka do drzwi! Ale On, Ten, któremu nie możemy ucałować stóp, aby dostąpić zbawienia, daje wam jeszcze szansę okazania potrzebującym miłosierdzia, mimo wszystkich waszych grzechów!

Dwaj żebracy poczuli się zagrożeni, toteż *spuścili przybłędzie manto, aby zrozumiał, że koniec świata może dla niego nadejść znacznie wcześniej niż dla reszty ludzi*. Jednak nie omieszkali wykorzystać pomysłu i od tej pory także używali argumentu nadchodzącej apokalipsy – każdy na swój sposób.

We wstępie do polskiego wydania książki autor wyjaśnia:

> W ciągu zaledwie dekady, którą rozpoczął rok 1938, w Rumunii zmieniło się tak wiele, że nawet świadkowie owych częstokroć katastrofalnych zmian przestali wierzyć, że wydarzyły się one naprawdę, a zaczęli myśleć, że był to jakiś senny koszmar. Wielu z tych, którzy marzyli o powrocie do normalności, trafiło do więzień. Aby dawne czasy zatarły się w zbiorowej pamięci narodu, począwszy od lat pięćdziesiątych, z rozkazu kolejnych władz, historia Rumunii była wielokrotnie pisana na nowo.

Teodorescu przywraca więc pamięć dotyczącą nie tylko narodu, ale czyni to także w odniesieniu do swoich dziadków i świata, w którym dane im było żyć.

Medgidia – rumuńskie Makondo

Skojarzenie Medgidii z fikcyjnym Macondo ze „Stu lat samotności” Marqueza przychodzi na myśl, gdy czyta się te wszystkie opowieści, ponieważ – choć nieodległe w czasie – wydają się jednak należeć już do sfery pewnej mitologii. Takiego miasteczka bowiem, jakie poznajemy na początku tej opowieści, już nie ma. Nie żyją bohaterowie owych historii, a odtworzone realia zmieniły się nie do poznania. Tętniące życiem miasteczko, zamieszkałe przez Rumunów, Żydów, Ormian, Turków, przypomina trochę mityczną Bukowinę.

Oprócz historii swego dziadka – Stefana Teodorescu, zwanego Stefankiem, właściciela dworcowej restauracji, pisarz snuje barwne opowieści o innych mieszkańcach Medgidii: jubilerze Marcelu, który terminował u paryskich mistrzów i który zmuszony został do opuszczenia miasta na fali antysemityzmu, co potem okazało się zbawienne, zważywszy wszystko, co działo się w Europie z Żydami podczas II wojny. Marcel wyjechał do Nowego Jorku, gdzie wkrótce został milionerem. Innym bohaterem jest imam Hassan – prawdziwy mędrzec, którego rady zasięgają imamowie z całej Turcji i który grywa w szachy ze Stefankiem i z majorem Scipionem – komendantem pułku, mimo że początkowo unika go „z racji jego mało finezyjnego, koszarowego usposobienia". Śledzimy także zmienne losy bezkompromisowego majora i jego skrywanej, ale wielkiej i odwzajemnionej miłości do żydowskiej lekarki Leili. W miasteczku mieszka nawet jeden Rosjanin – Grigorij, który zajmuje się kowalstwem, bije swoją żonę i ukrywa przeszłość.

Każdy z tych bohaterów to odrębna opowieść, a właściwie cykl miniaturowych opowieści, które wszakże stanowią odrębne, zamknięte dramaturgicznie historie. Jeśli jednak uważnie śledzimy losy bohaterów – a są one tak fascynująco przedstawione, że nie sposób się od nich oderwać – zauważymy, jak się one zmieniają na skutek historycznych wydarzeń. Niektórych historia miażdży bezlitośnie, inni wychodzą z doświadczenia totalitaryzmu (zwłaszcza komunizmu)

przemienieni. Ale są i tacy, którzy pozostają jakby nietknięci przez okrucieństwa losu – jak piękna lekarka Leila, mimo że jest Żydówką, osobą niezwykle prawą i bezkompromisową. Ona zresztą także na koniec emigruje. Miasteczko, zarządzane przez przedstawicieli komunistycznego reżimu, szarzeje, brzydnie i przestaje być tętniącym życiem, wielokulturowym tyglem.

Śmiercionośne papryczki Januszka

Teodorescu uwodzi czytelnika nie tylko pasjonującymi opowieściami. Istotne jest także to, że owe cudowne miniatury charakteryzuje specyficzny humor i wszechobecność ironii losu, ale także ironii historii. Dzięki temu każda anegdota zyskuje drugie dno.

Mnie najbardziej urzekła miłosna historia jednej z głównych postaci – kelnera Januszka. Otóż restauracja Stefanka Teodorescu zawdzięczała swoje powodzenie nie tylko atmosferze, którą stwarzał właściciel, ale przede wszystkim obecności kelnera, który przed wojną pracował w Orient Expressie, znał języki i świetnie opanował sztukę przygotowywania i podawania potraw. Marzył o tym, aby otworzyć własną restaurację w Bukareszcie, a może nawet kabaret, jednak ciągle brakowało mu na to pieniędzy.

Tymczasem ani się obejrzał, kiedy „stuknęła” mu czterdziestka. Pozostawał w stanie kawalerskim, ponieważ „jako wielbiciel kobiet nie ryzykowałby zakochania się w którejś z nich”. I oto pewnego dnia spojrzał w oczy młodej dziewczynie, zatrudnionej w kasie na stacji i… stało się.Żeby móc znowu popatrzeć jej w oczy kupił niepotrzebny mu bilet, a potem starał się zawsze być w pobliżu niej i choć robił to nader dyskretnie, dziewczyna zauważyła jego starania. I choć nie było to w zwyczaju, ale obyczaje powoli zaczęły się zmieniać – pozwoliła mu odprowadzać się do domu, a wreszcie gotowa była za niego wyjść. Kiedy jednak przyszły teść pogodził się z myślą, że córka wyjdzie za mąż za starszego od niej o dwadzieścia lat mężczyznę, Januszek postanowił coś udowodnić kolejarzowi, który stroił sobie żarty z jego związku. Założyli się, że jeżeli Jan zje pięćdziesiąt ostrych papryczek, kolejarz wyjedzie z miasta. Kelner był tak szczęśliwy, że gotów był zjeść dwa razy tyle. Zakład wygrał, po czym… wyzionął ducha.

Teodorescu opisuje nie tylko śmiertelne papryczki. Pisze o rewizjach, fałszowanych wyborach, przesłuchaniach, bezprawnym zabieraniu majątków, zawsze jednak w kontekście ludzkich losów, bohaterów, których – dodajmy – zdążyliśmy już poznać i jakoś się do nich przywiązać. Zawsze towarzyszy temu dyskretny humor, niekiedy czarny, jak w opowiadaniu”Kupiecki kadysz”, w którym inny bohater – Żyd Haiks traci cały towar i majątek, a nawet mieszkanie, ale nie traci poczucia humoru,

tylko postanawia porozmawiać ze Stefankiem o kadisz – modlitwie za umarłych, którą powinno się nad nim zaśpiewać trzykrotnie.

Wielowątkową powieść Cristiana Teodorescu można czytać na różne sposoby. Sam autor, z właściwym sobie poczuciem humoru, sugeruje, aby tak właśnie czynić:

> … mogą Państwo rozpocząć lekturę w dowolnym miejscu. Najbardziej niecierpliwi mogą czytać od końca do początku. Amatorzy powieści o szybkiej akcji mogą zacząć lekturę od początku i przeskakiwać przez tak zwane rozdziały – wypełniacze, natomiast ci z Państwa, którzy chcą poznać powieść jak powieść, powinni ją przeczytać od początku do końca, nawet jeśli składa się ona z ponad setki opowiadań.

Powieść „Medgidia, miasto u kresu" ukazała się nakładem Wydawnictwa Amaltea, w przekładzie Radosławy Janowskiej-Lascar.

Wywiad z Cristianem Teodorescu ukaże się na Culture Avenue we wtorek, 10 stycznia 2017 r.

http://kulturaonline.pl/

Kalendarz staropolski

Biblioteka Działyńskich w Kórniku.

Maria Wichowa

O kalendarzu

Kalendarz, który czasem swe wyznacza biegi,

części roku wymierza, gwiazd liczy szeregi,

i który w swoich wszystko granicach osadza,

niby Feniks z popiołów, co rok się odradza.

Ciągłym idąc porządkiem, od roku do roku,

> bada się z gwiazd obrotów nowego wyroku,
>
> co się dziać na powietrzu ma, wcześnie znać daje,
>
> powodzie, grady, grzmoty, wróżby, urodzaje,
>
> któremu czy kto wierzy, czyli jawnie przeczy
>
> zarówno zwykł przyjmować te obydwie rzeczy,
>
> chce tylko być użytym w swej każdemu porze,
>
> wszak służy prostym, możnym, w chacie i na dworze.
>
> (Kalendarz Polski i Ruski na Rok Pański
> 1878)

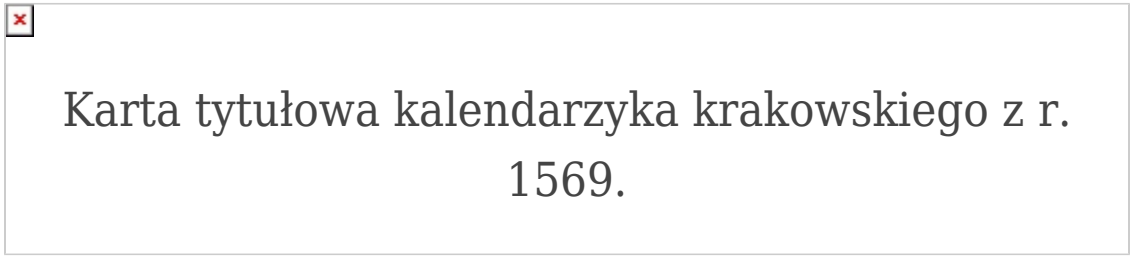
Wyraz *kalendarz* pochodzi od łac. *calendarium* (spis dni w roku z podziałem na miesiące). Zaś słowo *calendae* oznaczające pierwszy dzień miesiąca dało podstawę nazwy gatunku literackiego. Istniało także określenie *fasti*, pojawia się ono jako tytuł dzieła Owidiusza, zawierającego kalendarz mitologiczny. W języku potocznym słowo *kalendarz* oznaczało po prostu książkę zawierającą wykaz dni, miesięcy, świąt przypadających w ciągu określonego roku, sporządzony według prawa lub zwyczajowo

obowiązującego systemu rachuby czasu.

Kalendarz był książką o charakterze użytkowym, praktycznym. W dobie starożytnej w kalendarzowych spisach dni notowane były dni urodzin cesarzy, zebrań senatorów, wykazy wyższych urzędników rzymskich, spisy świąt, uroczystości, ważne fakty historyczne. Także w wiekach średnich kalendarze układane przez chrześcijańskich duchownych, oprócz wyliczonych z wieloletnim wyprzedzeniem terminów świąt wielkanocnych zawierały różne wiadomości użyteczne i praktyczne, np. katalogi świętych, ich żywoty, z biegiem czasu dołączono informacje z życia Kościoła i ważne wiadomości państwowe. Najstarszy zaś kalendarz i zarazem najstarszy druk, który ukazał się na ziemiach polskich to *Almanach* na rok 1474, w języku łacińskim. Wyszedł w tłoczni Kaspra Straubego w Krakowie, prawdopodobnie w końcu 1473 r. W początku XVI w. pojawiły się tego typu druki polskie książki te stały się jedną z najbardziej dostępnych postaci literatury popularnej i tuż po Biblii i elementarzu zajmowały poczesne miejsce w bibliotece przeciętnego szlacheckiego dworu.

Wraz z wynalezieniem druku kalendarz uległ silnemu przeobrażeniu i rozbudowaniu. Do rachuby czasu dołączono przepowiednie astrologiczne dotyczące urodzaju w nadchodzącym roku, zdrowia czy choroby, dni pomyślnych i feralnych, pokoju lub wojny, pogody, terminy prac gospodarskich

określane na podstawie położenia planet, nawet porady odnoszące się do terminów leczenia poprzez puszczanie krwi, strzyżenia włosów. Prognostyki astrologiczne cieszyły się wielką popularnością czytelników kalendarzy – najbardziej masowej książki rozpowszechnionej w dworkach szlacheckich. Z biegiem czasu nastąpiły kolejne zmiany, rozszerzenie tematyki tych publikacji. Pojawiają się informacje historyczne, geograficzne i polityczne ujęte w postać wykładu popularnonaukowego, wreszcie kształtują się kalendarze „specjalistyczne", np. kalendarz jezuicki, kalendarz polityczny, kalendarz gospodarski itp. W dobie bujnego rozkwitu tego typu publikacji w czasach saskich triumfy święcił kalendarz astrologiczno-prognostykarski. O zawartości tych wydawnictw ulotnych, po roku zużytych i nieaktualnych, przynajmniej w części zawierającej rachubę czasu, informuje wiersz zamieszczony w *Kalendarzu Polskim i Ruskim na Rok Pański 1878*:



Karta tytułowa kalendarzyka krakowskiego z r. 1569.

Publikacje te, jako pierwsza masowa książka w Rzeczypospolitej szlacheckiej stanowią znakomity dokument kultury potocznej doby staropolskiej, w tym również kultury literackiej. „Bez kalendarzy ludzka społeczność obejść się nie może" czytamy w

Kalendarzu Austrofila Krakowskiego na rok 1772. Rzeczywiście kalendarz był książką podręczną, używaną prawie codziennie, szczególnie w XVII i w XVIII w. w Polsce odgrywał rolę przewodnika życiowego szlachty, a nawet magnatów i duchownych. Był także księgą mądrości dla mieszczan i chłopów, ważnym źródłem wiedzy o świecie dla czytelników. Dla nas dzisiaj, po wiekach jest cennym komunikatem o rzeczywistości, którą opisywał i utrwalał.



Biblioteka Muzeum Przypkowskich w Jędrzejowie.

Kalendarze zawierały mnóstwo tekstów o charakterze użytkowym, np. przepisy kulinarne, recepty na domowe leki, porady lekarskie i weterynaryjne, porady kosmetyczne. Obok założeń praktycznych miały też cele ludyczne – dostarczanie czytelnikowi rozrywki, przede wszystkim rozrywki literackiej. Pojawiały się w kalendarzach zagadki, przysłowia, kalambury, paronomazje, wierszyki okolicznościowe, np. z powinszowaniami, panegiryki, utwory hagiograficzne, wiersze o tematyce historyczne, kilka odmian prognostyków, kolędy. Kolędy pojawiające się w kalendarzach bardzo różniły się od dzisiejszych pieśni bożonarodzeniowych. W dobie staropolskiej określano je jako kantyki, kantyczki, symfonie, rotuły, pieśni. Natomiast nazwa kolęda obejmowała wówczas utwory zawierające życzenia na Nowy Rok. Ten typ utworu reprezentuje *Kolęda na Nowe Lato* Jana Kochanowskiego, a podobnych wierszy drukowano bardzo dużo w omawianych periodykach. Wyraz „kolęda" w kalendarzach występował w jeszcze jednym znaczeniu, mianowicie jako książka – podarunek na Nowy Rok, o czym świadczy *Kolęda Warszawska*, wydawana przez Antoniego Wiśniewskiego od 1752 r. *Kolęda* podawała szereg najróżniejszych wiadomości o sprawach bieżących krajowych i zagranicznych, informacje o badaniach z zakresu fizyki, astronomii itp.

Autorzy kalendarzy informowali o wszelkiego rodzaju mirabiliach, gdyż był na te wiadomości olbrzymi popyt.

Zainteresowanie osobliwościami przyrody, niezwykłymi wydarzeniami, sensacjami, cudownościami, magią, astrologią było charakterystyczne dla kultury staropolskiej, stąd autorzy kalendarzy w obfitości dostarczali tej strawy duchowej czytelnikom, złaknionym ciekawostek, informacji o zjawiskach nadprzyrodzonych, trudnych do odgadnięcia przez ludzki umysł, np. odpowiedzi na pytania: skąd pochodzi przeraźliwe ciepło i ból gwałtowny w głowie, po długiej pracy rozumu?, czyli dobre wynikają skutki z natężonych prac rozumu? Wierzono, że „Małgorzata, żona hrabi Wierzbosława w krakowskim, jednym razem 36 synów powiła". Czasem nabierano do owych osobliwości dystansu, przedstawiano je w formie literackiej zabawy, wydobywając na plan pierwszy elementy żartu, pokazywanie „świat na opak".

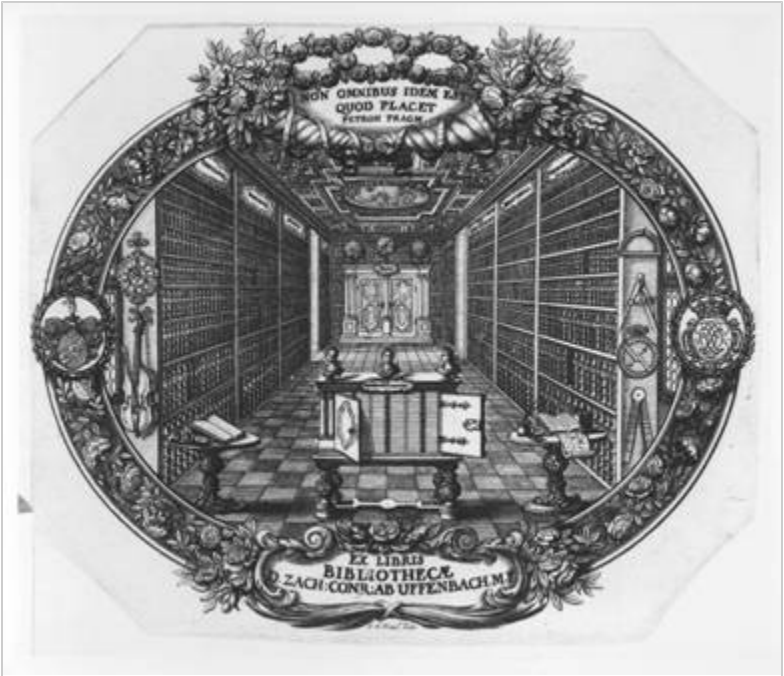
> Dziwy, dziwy, wielkie dziwy
>
> Dom z małżeństwem nie swanliwy,
>
> Bogacz nad ubóstwem tkliwy,
>
> Krewny krewnemu życzliwy
>
> Fanatyk nie podejrzliwy
>
> Mędrzec, bigot nie mrukliwy

> Wierszopis nie uszczypliwy,
>
> żołnierz trzeźwy, wstrzemięźliwy,
>
> Kapłan o kościół gorliwy,
>
> Mnich do pracy nie leniwy
>
> Doktor o życie troskliwy,
>
> Warchoł, pieniacz nie zdradliwy,
>
> Szalbierz, kostera cnotliwy,
>
> Próżniak, włóczęga poczciwy
>
> Dziwy! dziwy! wielkie dziwy.

Przedstawiona wizja świata pochodzi z roku 1804, doszedł tu do głosu w żartobliwej formie krytycyzm oświeceniowy, a także tradycja sowizdrzalska. Wierszyk przypomina powszechnie znany *Wstęp do bajek* I. Krasickiego i kompozycji w wymowie.

Bardzo rozpowszechnione były kalendarze gospodarskie,

zawierające dużo praktycznych porad rolniczych, popularyzację najnowszej wiedzy z tej dziedziny. Pierwsze takie kalendarze powstały już w starożytności, prototyp kalendarza gospodarskiego pojawił się w dziele Palladiusza. Już w XVII w. wyodrębniła się ta grupa kalendarzy w Polsce. W 1616 r. powstało dzieło Teodora Zawackiego *Pamięć robót i dozoru gospodarskiego w każdym miesiącu*, w 1618 r. ogłosił Stanisław Słupski *Zabawy orackie*, stanowiące zalążek kalendarza wierszowanego. W rękopisie pozostał kalendarz gospodarski Jana Ostroroga z przełomu XVI i XVII w., drukowany dopiero w r. 1876. Jest to dzieło w najwyższym stopniu oryginalne, owoc doświadczenia autora – wzorowego rolnika, magnata – właściciela pięknego majątku Komarno, w zakresie organizacji, dozoru i ekonomiki prac na folwarku. Zarazem to poradnik dla służby, dla potomków i dla sąsiadów. Prezentuje bardzo wysoki poziom wiedzy rolniczej. Na każdej stronicy dziełka rzuca się w oczy praktycyzm, utylitaryzm pisarza – doświadczonego gospodarza. Dzieło odznacza się wysokim poziomem literackim.



Wnętrze biblioteki z końca XVII w., miedzioryt wykonany przez miedziorytnika augsburskiego Johanna Ullricha Krausa, ze zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie.

Kalendarz był zatem środkiem komunikacji społecznej, trybuną z której głoszono spopularyzowaną wiedzę naukową, np. rolniczą, historyczną, medyczną itp. Wykazuje on podobieństwo do sylw szlacheckich, które istotnie zawierały las rzeczy (silva rerum). Autorzy owych ksiąg zamieszczali teksty literackie obok porad praktycznych, mów sejmowych, pamflety, odpisy nowin, anegdoty, czasem niecenzuralne fraszki, a także wiersze polityczne, okolicznościowe, dokumenty itp. Kalendarz to swego

rodzaju drukowana sylwa, opracowywana corocznie, prezentująca myślenie potoczne. To także medium, środek przekazu kształtujący opinię publiczną, gusty czytelnicze, w tym i upodobania literackie, ale zarazem wychodzący naprzeciw oczekiwaniom przeciętnego odbiorcy. Gdy idzie o popularyzację wiedzy, dawne kalendarze dobrze się zasłużyły. Opracowywali je autorzy o dużych kompetencjach naukowych, często profesorowie wyższych uczelni. Od 1518 r. dominowały na rynku wydawniczym kalendarze krakowskie, ale od połowy XVII w. zaczęli ogłaszać swe dzieła również profesorowie Akademii Zamojskiej. W Zamościu w l. 1671-1699 drukował kalendarze Stanisław Niewieski, od 1690 do 1724 r. publikował je lekarz Akademii Tomasz Ormiński, zaś najpopularniejszym twórcą kalendarzy XVIII w. był Stanisław Duńczewski, doktor filozofii i prawa, profesor matematyki Akademii Zamojskiej. W tym samym czasie potęgą na kalendarzowym rynku wydawniczym była Akademia Krakowska, której profesorowie: Jan Józef Przypkowski, Ignacy Paweł Michałowski, Antoni Mikołaj Krzanowski, Józef Grzegorz Więczkiewicz skutecznie konkurowali z profesorami zamojskimi. Obok kalendarzy akademickich drugą wielką grupę stanowiły kalendarze wydawane przez zgromadzenia zakonne, szczególnie przez jezuitów i pijarów.

Pod koniec XVIII stulecia kalendarze stały się narzędziami oświeceniowej edukacji społeczeństwa, popularyzacji

nowoczesnej wiedzy, skutecznym sposobem wydobywania z zacofania umysłowego sarmackiej prowincji.

Gregory Peck. Legenda Hollywood.



Hregory Peck, 1946 r., fot. Eileen Darby, Getty Images.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Gregorego Pecka (1916-2003), wielką legendę amerykańskiego kina i uwielbianego gwiazdora Hollywood, przez wiele lat uważano za najprzystojniejszego mężczyznę Ameryki. W 2000 roku aktor oficjalnie przeszedł na emeryturę. Ostatnie pożegnalne przedstawienie odbyło się na deskach Elisnore Theatre w Salem. Podczas dwugodzinnego spotkania zatytułowanego "Rozmowa z Gregorym Peckiem" aktor opowiadał anegdoty ze swojego filmowego życia i doskonale, choć po raz ostatni, bawił publiczność. A jeszcze tak niedawno twierdził, że co jakiś czas pojawiające się propozycje ról charakterystycznych, starych dziadków czy wujków absolutnie mu nie odpowiadają, bo właśnie teraz czuje się najbardziej świadomy i profesjonalny i nie ma zamiaru zejść ze sceny.

Z okazji 84-tej rocznicy urodzin córka Cecylia Peck, aktorka i producentka, zamówiła pełnometrażowy dokument o życiu swojego taty. Film Barbary Kopple, jednej z najsławniejszych amerykańskich dokumentalistek pt. "A conversation with Gregory Peck", stał się na Festiwalu w Cannes dużym wydarzeniem, gdyż wielki gwiazdor zwykle chronił swój prywatny wizerunek i starał się pozostać tylko ekranowym

idolem. Ciekawie było zobaczyć jak na przykład prezydent Francji Jacques Chirak, na prywatnym spotkaniu żartuje sobie, że Gregory Peck ubiegł go w rywalizacji o względy pięknej i młodej, francuskiej dziennikarki Veronique Passani. Film pokazuje życie gwiazdora z drugą żona, Veronique, cieniem tajemnicy okrywając pierwszy związek z Gretą Kukkonenen, która całe życie darzyła go uczuciem i zachowała ciepłe wspomnienia.

Eldred Gregory Peck urodził się w 1916 roku w małej kalifornijskiej miejscowości La Jolla. Jego ojciec był właścicielem małej apteki. Uważał się jednak za pechowca, ponieważ nie zrealizował marzenia o studiowaniu medycyny. Pragnął więc by to marzenie spełnił jego syn. Ojciec Gregorego, też Gregory Peck, pochodził z irlandzko-angielskiej rodziny. Zanim wyjechał do Stanów Zjednoczonych, 8 lat spędził na farmie w Irlandii. Na emigracji za oceanem, bez wymarzonego wykształcenia i z praktyką jedynie na roli, nie umiał znaleźć sobie miejsca. Dochodziło więc w rodzinie do konfliktów. Mimo różnicy zdań, po latach jednak żyli z synem w przyjaźni. Gdy ojciec Gregorego miał już dobrze ponad 70 lat, jego ulubioną zabawą było jeżdżenie po stacjach benzynowych z prośbą o zatankowanie do pełna. Podawał kartę kredytową z wyraźnie widniejącym nazwiskiem: Gregory Peck i obserwował reakcje. Wszyscy pracownicy stacji przyglądali się mu z ogromnym zdziwieniem, a on z szelmowskim uśmiechem czym prędzej wyjaśniał – *Tak,*

jestem Gregory Peck, tylko coś z moim zdrowiem ostatnio nie najlepiej.

Gregory wspominał swoje dzieciństwo jako beztroski i sielankowy okres w życiu. Do szkoły odprowadzał go wierny pies Bud. Potem cierpliwie czekał przed sklepem spożywczym przy głównej ulicy, a z wybiciem godziny 15 wracał pod szkołę. Tę sielankę rozbił rozwód rodziców. Matka zabrała wówczas chłopca i wyjechała do rodzinnego miasteczka St. Luis. Gregory, żeby pomóc matce, chwytał się różnych prac, sprzedawał na ulicy gazety, rozwoził towar do sklepów. Bieda spowodowała jednak, że wrócili do La Jolla, matka znalazła pracę w Los Angeles, a chłopca wychowywała babcia. Gregorego posłano do katolickiej szkoły o profilu wojskowym. Pobudka o 5.30 rano, sami zakonnicy jako nauczyciele. Przez jakiś czas marzyło mu się nawet, żeby zostać księdzem. Kiedy jednak matka powtórnie wyszła za mąż, przyszły gwiazdor przeniósł się do ojca, a ten za wszelką cenę pragnął dla niego kariery medycznej. Gregory zapisał się więc do college'u w Berkeley z zamiarem studiowania medycyny. Miał też kontakt z matką i jej drugim mężem, który hodował konie i wystawiał je na wyścigach w San Francisco. Nauczył się wtedy dobrze jeździć konno, co tak mu się potem przydało w westernach. Na studiach po raz pierwszy zetknął się ze sceną, grając w amatorskich przedstawieniach. Wtedy doszedł do wniosku, że występowanie przed publicznością przywraca mu pewność siebie i postanowił zostać aktorem. Pierwszym krokiem

było pozbycie się znienawidzonego imienia Eldred, które matka podobno znalazła przed chrztem przypadkowo w książce telefonicznej. Następny krok, to postaranie się o dwuletnie stypendium umożliwiające solidny kurs aktorski i wyjazd do Neighborhood Playhouse w Nowym Jorku. – *Ojciec twierdził, że nigdy tak na prawdę nie chciał być aktorem* – wspominał jego syn Stephen – *robił to tylko dla pieniędzy*. Czy rzeczywiście aktorstwo było jego marzeniem? Na pewno wtedy tak mu się wydawało. W szkole okazało się, że jest bardzo utalentowany i pracowity. Jeśli miał do wypowiedzenia tylko kilka linijek i to na końcu spektaklu, uczył się tej kwestii bardzo długo, dopracowując szczegóły. Chciał być we wszystkim doskonały. Duży sukces odniósł w sztuce Emlyn Williams pt. "The Morning Star". Tam go zauważono.

Był rok 1939. Młody Gregory Peck zaczynał studia w Nowym Jorku, wtedy gdy w Europie szykowano się do wojny. Przypadek zrządził, że podczas zajęć gimnastycznych uszkodził sobie kręgosłup, w wyniku czego przez sześć miesięcy musiał zakładać metalowy kołnierz. Gdy Ameryka przystąpiła do wojny, a wielcy gwiazdorzy pozakładali mundury, on został zwolniony ze służby wojskowej, a tym samym pozostał jednym z nielicznych młodych gwiazd na rynku. Wysoki (191 cm), ciemnowłosy, emanujący ciepłem i spokojem, z szelmowskim, tajemniczym uśmiechem wydawał się być godnym następcą hollywoodzkich amantów. Wprawdzie wielki producent David O. Selznick po próbnych

zdjęciach stwierdził, że początkujący aktor nie posiada ekranowej prezencji i w notatce oceniającej napisał – *Bardzo mi przykro, ale nie mam pojęcia co moglibyśmy zrobić z Gregorym Peckiem. To nie jest kandydat na amanta, on boi się własnego cienia.* Później jednak zmienił zdanie.



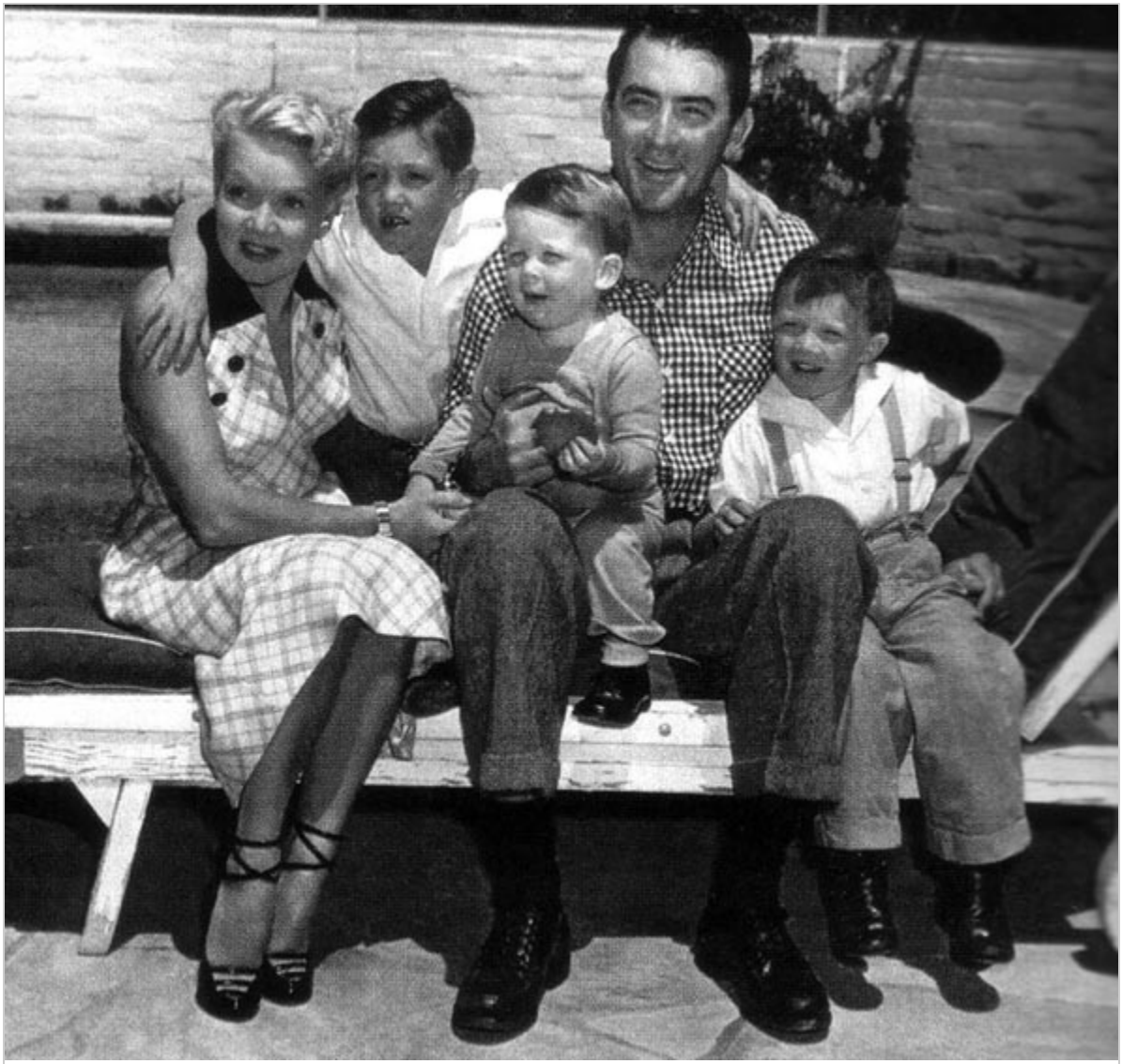
Gregory i Greta Peck z synami, 1947 r., fot. arch. Grety Peck

W tym czasie odmieniło się też życie osobiste aktora. Już nie był sam, założył rodzinę i trzeba było pomyśleć o jej utrzymaniu. Greta Eine Matilda Kukkonenen (1911 – 2008), pochodziła z

Finlandii. Urodziła się na dworcu kolejowym w Helsinkach, jak to żartobliwie wspominała. Jej ojciec był wziętym jubilerem, dobrze się rodzinie powodziło, mimo to, rodzice zadecydowali, że przeniosą się na stałe do Nowego Jorku. Od tej chwili miasto to stało się dla przyszłej żony gwiazdora domem rodzinnym. Gdy Gregory Peck podejmował pierwsze próby w teatrze, ona pracowała już jako wzięta charakteryzatorka dla wielkiej damy teatru Kathrin Cornell. Tak się złożyło, że byli razem na 9-cio miesięcznym turnée. Poznali się, zaprzyjaźnili. Pewnego popołudnia przechodzili ulicą w pobliżu kościoła na Clifft Ave. i postanowili, że właśnie teraz się pobiorą. Nie ma przecież na co czekać, skoro decyzja już została podjęta. Weszli do kościoła i wzięli ślub. Ksiądz znalazł im świadków. Następnego dnia powiadomili rodziców i zaprosili przyjaciół na obiad. – *To było takie praktyczne* – wspominała po latach Greta Peck – *bez tych wszystkich ceremonii.*

W 1943 r. Gregory i Greta Peck wyjechali do Hollywood. W Europie trwała wojna. Gregory otrzymał pierwszy angaż. Został obsadzony w głównej roli w filmie Jacquesa Tourneura "Odwet". Tytuł wzbudzał jednak oburzenie, mówiono, że jest zbyt brutalny, został więc zamieniony na "Dni chwały". Film był wybitnie propagandowy, miał wspierać aliancko-radziecki sojusz w walce z Hitlerem. Gregory Peck zagrał rosyjskiego partyzanta, który organizuje akcję sabotażową. – *Z tego filmu najbardziej pamiętam* – wspominał aktor swoją pierwszą rolę – *że reżyser*

stale mi powtarzał: "Mów normalnie Greg". Wcześniej w teatrze Gregory pracował z reżyserem Guthrriem Mc Clintic, który przysłuchiwał się próbom, siedząc w ostatnim rzędzie na balkonie i jeśli nie rozumiał choć jednej sylaby, natychmiast przerywał. Powtarzał ciągle, że bilety na balkon też nie są za darmo. Po takim treningu młodemu aktorowi wciąż się wydawało, że mówi cicho i niewyraźnie. A tu, w filmie ciągle słyszał pytanie: *Dlaczego tak krzyczysz, przecież mikrofon jest pod twoim nosem*. W tym wojennym obrazie występował z doskonałą tancerką Toumanową. Dla przeciwwagi jej głos przypominał szept, reżyser miał więc podwójny kłopot. Film nie był ambitny, szybko zszedł z ekranu, ale łowcy talentów zauważyli odtwórcę głównej roli. Przekonał się też do niego producent David O. Selznick.



Gregory i Greta Peck z synami,, fot. arch. Grety Peck.

Młody aktor zaczął dobrze zarabiać, 1000 $ na tydzień całkowicie wystarczało na utrzymanie, więc jego żona zrezygnowała z pracy i zajęła się domem. Przyzwyczajona do Nowego Jorku, źle się jednak czuła w Kalifornii. – *Wydawało mi się, że mieszkamy na campingu*. – wspominała. – *Nie lubiłam życia poza miastem. Czułam pustkę, brakowało mi ruchu i szumu na ulicach Beverly Hills. Najbliższy dom oddalony był o 3 mile.*

Szliśmy tam czasem po przyjęciu o 4-5 rano, żeby wykąpać się w basenie. Właściciel tego domu był wspaniałym śpiewakiem i kochał muzykę. Nastawiał płyty, a my pływaliśmy. Mieliśmy wtedy tyle energii.

Po filmie "Dni chwały" Gregory Peck otrzymał rolę w "Kluczach do nieba" według powieści A. J. Cronina. Aktor zagrał misjonarza w Chinach i zmieniał się na ekranie z 18-to letniego chłopca w 80-cio letniego starca. Cronin był zachwycony. Po sukcesie tego filmu Gregory Peck rozmawiał z Gary Cooperem. Było to pierwsze spotkanie z gwiazdą amerykańskiego kina, mającą na swoim koncie już kilkadziesiąt filmowych ról. Gary Cooper zapytał: – *Jak tam pańskie dwie?* (role, red.) – *Jedna dobra, jedna zła* – odpowiedział Gregory Peck. – *O, to ma pan lepszy wynik, niż my wszyscy.*

Ekranową gwiazdą o dużej popularności stał się Gregory Peck dzięki roli w westernie "Pojedynek w słońcu" (1946). Zagrał tam amoralnego łajdaka złączonego fatalną, ale ognistą miłością z piękną Jennifer Jons. To był przełom w karierze młodego aktora. Krytycy narzekali, że Gregory został źle obsadzony, że nie nadaje się do takiej roli, ale publiczność, zwłaszcza kobieca, była zachwycona. Tak samo zareagowano na kolejny western "Rewolwerowiec". Kreacja Pecka była niezwykle intrygująca i dwuznaczna. Widzowie długo pamiętali scenę, w której aktor ze zniewalającym spojrzeniem i kpiącym uśmiechem obserwuje

ludzi, którzy wokół niego mordują. Zachowuje dystans i zimną krew. Trudno przewidzieć jak postąpi.

W małżeństwie dobrze mu się układało. Był zadowolony, że jego żona zajmuje się domem, że nie jest aktorką. Kochał ciepło rodzinne i każdą wolną chwilę poświęcał rodzinie, żonie i trzem synom (Johnathan, Stephen, Carey). Na tle szybko rozpadających się związków Hollywood byli parą niemal wzorową. Wszędzie widziano ich razem, na przyjęciach i cocktailach. Prowadzili dom otwarty, mieli wielu znanych i popularnych przyjaciół. Przyjaźnili się ze słynnym kolekcjonerem i fundatorem Muzeum w Malibu Paulem Gettym. Serdeczne stosunki łączyły ich z Ronaldem Reaganem i jego pierwszą żoną, która także była aktorką. Gdy praca Gregorego wymagała wyjazdu, w podróż wybierali się całą rodziną. Nic więc nie zapowiadało rozstania, ani atmosfery skandalu. A wszystko zaczęło się niewinnie, podczas kręcenia filmu "Rzymskie wakacje". Oczywiście na zdjęcia do Włoch, które miały trwać od maja do października (1952 r.) pojechali wszyscy razem. Zamieszkali w pięknej willi niedaleko Albano, w posiadłości ziemskiej zwanej Vigna Saint Antonio. (Posiadłość tę kupił potem Anthony Quinn). Mieli służbę, szofer odwoził dzieci do szkoły. Gazety włoskie rozpisywały się na temat przyjazdu wielkiego amerykańskiego gwiazdora, pokazywano zwiedzającą miasto, rozpromienioną parę. – *Zaprosił mnie wtedy do siebie właściciel fabryki butów, pan Ferragamo* – wspominała Greta Peck. – *Przyjął mnie w salonie i obdarował różnymi modelami, ze*

swojej najnowszej kolekcji. Te będą na spacer, te z wizytą, a te na imieniny u cioci. Wyszłam z 12-toma parami butów. Byłam trochę zażenowana tą hojnością, ale nie znałam włoskiego i zupełnie nie wiedziałam, jak powiedzieć "nie" i "dziękuję".



Gregory Peck i Audrey Hepburn w filmie „Rzymskie wakacje", fot. arch. Grety Peck

Film był pierwszą większą amerykańską produkcją po wojnie. Zdjęcia kręcono w plenerze, na ulicach Włoch. Aktorom przyglądały się tłumy. Policjanci zatrzymywali ruch. Bajka o ubogim, lecz szlachetnym dziennikarzu, romansującym z piękną, wrażliwą i delikatną księżniczką, uciekinierką z pałacu (Audrey Hepburn) wszystkim się bardzo podobała. W tym czasie Gregory

Peck pojawił się na krótko w Paryżu. Przyszła do niego młoda francuska dziennikarka, rozpoczynająca pracę w "Paris Matcha", z zamiarem przeprowadzenia wywiadu. – *To była wielka, romantyczna miłość* – mówiła córka Gregorego, Cecylia – *miłość od pierwszego wejrzenia.* Gdy Gregory wrócił do Rzymu, było już jasne, że coś się stało z małżeństwem. Greta przed zakończeniem zdjęć wróciła z dziećmi do Kalifornii. Oficjalnie ogłoszono separację, która zakończyła się rozwodem. Zapytana po latach o przyczyny rozwodu odpowiedziała wymijająco. – *Gregory był bardzo rodzinny* – mówiła – *więc to jest naturalne, że spotkał w Europie inną kobietę, skoro mnie tam nie było.* Dużo później konsekwencje rozwodu okazały się jednak tragiczne w skutkach. Najstarszy syn Gregorego i Grety, Jonathan, trzydziestoletni wówczas reporter telewizyjny i pisarz mieszkający w Santa Barbara, popełnił samobójstwo. Podobno najbardziej przeżył rozejście się rodziców. Mimo, że po rozwodzie ojciec miał stały kontakt z synami, zabierał ich na weekendy, na wakacje, na święta, a także do pracy na plan filmowy, Jonathan, niezwykle podobny do ojca, zarówno z wyglądu, jak i charakteru, nie mógł zrozumieć dlaczego rozpadła się rodzina. Poczuł się niekochany, niepotrzebny. To uczucie spotęgowała w dorosłym życiu nieszczęśliwa miłość, doszło przepracowanie i choroba. Skończyło się tragicznie. Ani Greta, ani Gregory nie chcieli mówić o synu, chociaż byli w tym nieszczęściu blisko siebie.

Kłopoty rodzinne odsunęły wprawdzie aktora na jakiś czas od

filmu, ale kariery nie zaprzestał. Ważnym wydarzeniem stała się współpraca z Hitchcockiem. Powszechnie panowała opinia, że Hitchcock lekceważył aktorów. Kiedyś wyraził się, że najważniejszym etapem realizacji filmu są dla niego prace przygotowawcze, a same zdjęcia to już tylko kwestia "wprowadzenia bydła do zagrody". Gregory Peck twierdził jednak, że wiele się od reżysera nauczył. Do tej pory grał według systemu Stanisławskiego, w którym najważniejszy jest autentyzm wewnętrznego przeżycia oraz umiejętność wzbudzenia w sobie pewnych stanów uczuciowych, myśli i emocji. Natomiast mimika, gesty i ruchy są spontaniczne, stanowią zewnętrzny wyraz uczuć. U Hitchcocka wszystko było z góry przewidziane, każdy szczegół, każdy ruch. Jeśli w określonej scenie aktor chodził lub siadał inaczej niż to było zaplanowane, zaczynały się konflikty. – *Wtedy byłem niedoświadczony* – wspominał aktor – *teraz wiem, że należy przyjąć dawane z góry pewne gesty, ruchy, pewien sposób bycia, a następnie szukać dla nich potwierdzenia w swej psychice.*

Pozycję aktora osłabiło nieco niepowodzenie w filmie "Moby Dick" pomyślanego jako ekranizacja powieści Melville'a. Peck zagrał kapitana Achaba, demonicznego żeglarza, opętanego obsesją pościgu za białym wielorybem. Rola ta, tak charakterystyczna, nie mieściła się jednak w dotychczasowym wizerunku aktora. Niepowodzenie filmu w konsekwencji wpłynęło na zmianę sytuacji finansowej. Odtąd więc Gregory

Peck stał się współproducentem filmów ze swoim udziałem. Zaczął od malowniczego westernu “Biały kanion”. Odniósł sukces kasowy filmem przygodowym “Działa Navarony”, z akcją rozgrywającą się podczas ostatniej wojny w Grecji. Największy jednak prestiżowy sukces, potwierdzony nagrodą Oskara, przyniósł mu dramat społeczny “Zabić drozda”. Akcja filmu rozgrywa się w małym miasteczku w stanie Alabama. Gregory Peck z wielką wirtuozerią i niezwykle przekonująco zagrał adwokata broniącego Murzyna, niesłusznie oskarżonego o gwałt. Sam aktor uważał, że był to jego najlepszy film. Miał on wymiar społeczny, dlatego pokazywany był w szkołach na lekcjach wychowania obywatelskiego. Na konferencji prasowej w Cannes, po prezentacji dokumentu o Gregorym Pecku, ktoś z sali powiedział, że właśnie dzięki filmowi “Zabić drozda” został adwokatem.



Gregory Peck w filmie „Zabić drozda”, fot. arch. Grety Peck

W dorobku artystycznym Gregorego Pecka są różne role. Przeważają role heroiczne, pokazujące Amerykę jako kraj wspaniałych ludzi, którzy potrafią pokierować własnym życiem, pokonać przeciwności losu i przezwyciężyć zło. Ale zdarzają się też role bohaterów negatywnych, jak chociażby kapitan Achab, egocentryk McArthur czy sadysta, doktor Liebermann, postać wzorowana na nazistowskim, zbrodniczym lekarzu, doktorze Mengele. Ostatnia jego duża kreacja, to rola w filmie “Old Gringo” z 1989 roku. Scenariusz oparty został na powieści harvardzkiego profesora i znanego autora Carlosa Fuentesa, w

reżyserii Luisa Puenzo. Peck wcielił się w postać Amrose'a Bierce'a, amerykańskiego korespondenta w Meksyku, piszącego na przełomie XIX i XX wieku, podczas rewolucji meksykańskiej. Producentką filmu i jednocześnie filmową partnerką Pecka była Jane Fonda, w roli nauczycielki. – *Często spotykałem się z zarzutami* – powiedział Gregory Peck, podsumowując swój aktorski dorobek – *że mój typ osobowości jest trudny do zdefiniowania. Tymczasem ja się właśnie przed tym bronię. Nie chciałem by mnie zaszufladkowano. Stale szukałem nowej formuły bohatera.*

Gregory Peck ma też na swoim koncie film o zupełnie innym charakterze, obraz skierowany przeciwko wojnie w Wietnamie pt. "Trial of the Catonsville Nine". Jednak wielkie wytwórnie zabroniły jego pokazywania, gdyż w sposób oczywisty sprzeciwiał się rządom Nixona. Wyświetlano go tylko w bardzo niewielu kinach studyjnych. Do akcji pokazujących konsekwencje wojny włączył się aktywnie syn Gregorego i Grety, Stephen. Przeżył Wietnam, był więc naocznym świadkiem tych wydarzeń. Po powrocie nakręcił wstrząsający dokument. Film ten zdobył wiele nagród, pokazywany był też w Europie. Stephen przez wiele lat związany był z organizacją "Weterani Los Angeles". Pracował w administracji socjalnej. Organizacja ta dawała przejściowe miejsca zamieszkania bezdomnym weteranom, prowadziła poradnictwo w krytycznych sytuacjach, dawała pomoc psychologiczną, pośredniczyła w znalezieniu

pracy. Ludzie, zbierani z ulicy zamieszkiwali w ośrodku, który znajdował się w Long Beach, a specjaliści przeprowadzali bardzo skomplikowany proces adaptacji. W samym okręgu Los Angeles jeszcze w 2002 roku było 25. tys. bezdomnych weteranów. Greta Peck znalazła tu też i dla siebie miejsce. Przyjeżdżała do Long Beatch w każdy poniedziałek, zajmowała się znajdowaniem miejsc pobytu dla bezdomnych i rehabilitacją. Przygotowywała posiłki, rozmawiała, organizowała Christmas Party.

Dzieci Gregorego Pecka z Veronique Passani, syn Anthony i córka Cecylia, grają w filmach. Natomiast synowie z Gretą, wybrali inne zawody. – *Nigdy nie chciałem być aktorem* – powiedział Stephen – *i myślę, że decyzją tą nie rozczarowałem ojca. Ten zawód to nie business, żeby móc przekazać go dzieciom. Aby grać, trzeba mieć unikalny zbiór cech osobowości i charakteru. Ja ich nie miałem.*

Carey Peck pracował w Metro, w dziale zaopatrzenia. Wierzył, że to co robi jest bardzo ważne. Obaj synowie ożenili się z artystkami, malarkami. Na wernisaże organizowane w Los Angeles zawsze przychodził ojciec. Wtedy się spotykali.

Gregory Peck mieszkał we wspaniałej rezydencji w ekskluzywnej dzielnicy Los Angeles w Bel Air. Posiadłość nie była dostępna, ani widoczna z daleka. Otoczona starymi drzewami, dawała poczucie spokoju i odosobnienia. Greta Peck mieszkała niedaleko

Beverly Hills. Nie miała żalu do męża. Przyzwyczaiła się być sama. Miała różne rodzaje aktywności, które jej życie wypełniały. Uważała się za szczęśliwą osobę. – *Teraz cieszę się życiem więcej niż kiedykolwiek* – mówiła – *bo więcej widzę i więcej doceniam.*



Joanna Sokołowska-Gwizdka z Gretą Peck w jej domu w Los Angeles w 1998 r., fot. arch. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka

Na podstawie rozmowy Joanny Sokołowskiej-Gwizdka z Gretą Peck i synem Stephenem Peckiem w Kalifornii w 1998 roku.

Staropolskie kuligi i szlichtady



Teresa Fabijańska-Żurawska

> Były te zabawy nie tylko w stolicy, lecz po całym kraju naszym od niepamiętnych zapewne przed Sobieskim, czasów. Trwały pokąd jeszcze błogie za Stanisława Augusta służyły chwile. Tak więc u przywódcy swojego zbierała się młodzież, przesadzając się na kształtny zaprzęg, saneczki, dobrze ubranych ludzi. Muzyka była na zawołaniu. Ruszano w dom najpierwszy, gdzie dużo było dziewcząt, albo je sproszono z powinszowaniem świąt szczęśliwych. Zmrokiem przyjechać kazał obyczaj, przy świetle kagańców i pochodni, lśniły się brylantami okolice całe i lasy nastrzępione

> śniegiem lub srebrem oblane, skrzypiały przemykając się lekko sanice, odzywał się z dala tętent koni, jak gdyby szwadron jazdy był w pełnym pochodzie; brzęk dzwonków różnogłośnych i kółek nawieszanych, odgłos muzyki, w takt odzywające się trzaskania biczem zręcznych powozicieli, okrzyki wesołych już się dawały słyszeć, gdy tylko co na wieś wjeżdżali; tak z powiększającym się coraz szumem i hukiem w otwartą wpadano bramę i zajeżdżano przed mieszkanie gospodarza. Wychodził ku swym gościom, witał uprzejmie, wprowadzał, gdzie czekała żona i dziewice już do tańca postrojone. Po wstępnych grzecznościach i pozdrowieniach, ożywiała się coraz bardziej rozmowa, częstowano ochoczo i ludziom i koniom rad był gospodarz i miejsca obmyślił. Zaczynały się tańce. Doczekano się tym sposobem na gwałt przyrządzonej, obfitej wieczerzy, po której znowu następowały pląsy, śpiewy do białego dnia nieraz, spoczynek utrudzonych nareszcie bez wytworności przyjęty, gdzie i jak można było.

Tak opisywał staropolskie zabawy karnawałowe, zwane u nas kuligami, wielki historyk obyczajów polskich – Łukasz Gołębiowski (1773-1849) w swej książce „Gry i zabawy różnych stanów” wyd. w Warszawie w 1831 r.



Kulig na starej rycinie.



Kulig na starej rycinie.

Kulig taki, coraz to liczniejszych mający uczestników, wędrował od dworu do dworu popasając, bawiąc się i goszcząc nieraz i po kilka dni. Była to okazja do odwiedzin familijnych, do poznania się młodych i do wielu radości, popisów uciech i psot. Nade wszystko była to okazja do błyśnięcia dowcipem i dobrym pomysłem na saneczki, które musiały być niezwykłe. Rzeźbiono więc sanie w kształcie niedźwiedzia, jelenia, konia koguta, łabędzia, lwa, muszli i fantastycznych stworów. Nieraz były to całe kompozycje wielofiguralne, głowy murzynka na rufie albo ptaka rajskiego, papugi, węża itp. Nawet w największym tłoku każdy łatwo rozpoznawał swoje sanie. Po leśnych, wąskich drogach pędziły zaprzęgi jednokonne. Zazwyczaj dama siedziała w saniach opatulona baranicą i kapłonim zarękawkiem (mufką z piór kogucich), a mężczyzna powoził z tylnego koziołka. Obejmując damę serca chronił ją swymi ramionami, szepcząc czułe słówka prosto do ucha.

Sznur saneczek mknął raźnie i szybko. Towarzyszyła saniom młodzież na koniach z pochodniami w ręku, rozświetlając ciemności i płosząc liczną, leśną zwierzynę.

Innego rodzaju zabawą karnawałową były szlichtady, które organizowano na dworach panujących możnych. Te odbywały się zwykle w pobliżu rezydencji królewskiej lub na placach i ulicach dużych miast. Był to spektakl z udziałem licznych widzów,

mieszkańców miast, rodzaj teatru na wolnym powietrzu. Na oczach gapiów przesuwał się cały korowód wymyślnie rzeźbionych i złoconych saneczek, bardzo bogato zdobionych malowidełkami, na których widoczne były sceny z życia dworu, mityczne boginie, amorki, krajobrazy. Specjalnie dobierani młodzi chłopcy, zwani biegunami, nadawali tempo jednokonnym zaprzęgom. Przebrani w stroje dworskie, często dworu hiszpańskiego, wyglądali teatralnie w swoich pluderkach, białych pończochach, obcisłych żakiecikach i czapeczkach z piórami strusimi. W ręku trzymali baty – knuty do popędzania koni. Szlichtada nie była jedynie przejażdżką saniami. Był to rodzaj konkursu na najpiękniejsze sanie, na najwspanialszego konia i uprząż, która do tak ozdobnych sań też musiała być odpowiednio bogata, haftowana srebrem i złotem, naszywana małymi, kulistymi dzwoneczkami, które dawały piękną gamę dźwięków. Konkurs polegał również na zręczności w powożeniu. Stawiano np. manekiny i trzeba było tak blisko podjechać, by tego słomianego luda dźwignąć specjalną, krótką lancą trzymaną przez damę. Była to zręczność niemała, toteż dla zwycięzców przygotowywano nagrody. Zabawy te popularne były w XVII i XVIII w. również w Polsce, czego dowodem są zachowane do dzisiaj przepiękne okazy saneczek. W Muzeum Czartoryskich w Krakowie np. eksponowane są sanki szlichtadowe z rzeźbą bogini Diany na łowach, a bogini ta ubrana jest w strój polskiej szlachcianki. W pałacu w Nieborowie można zobaczyć kilka różnorodnych saneczek, a jedne szczególnie cieszą oko widza

wizerunkiem głowy pijaka. W Powozowni Zamkowej w Łańcucie stoją sanie w kształcie hipokamposa, pół konia, pół ryby ze złotą łuską.



Kulig na starej rycinie.



Kulig na starej rycinie.

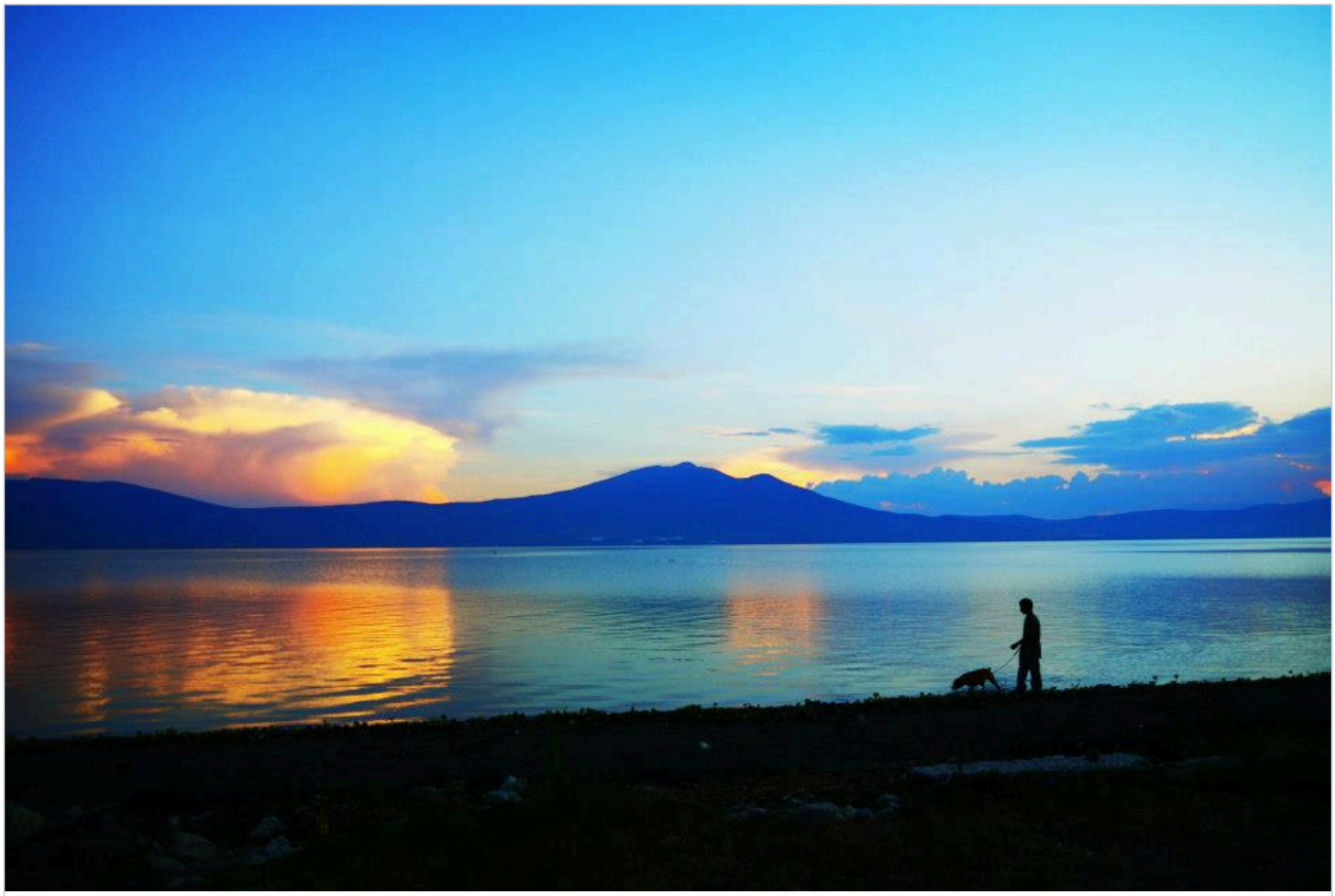
Do 1944 roku w Paradnej Szorowni w Łańcucie stały przepiękne złote saneczki, w kształcie muszli, z której wyrastało bóstwo morskie – grubiutki, mały Tryton, grający na rogu-muszli. Płozy, wsporniki i tył saneczek był rzeźbiony w ornamenty z gałązek i girland. Saneczki te uważano za własność królowej Francji, Marii Antoniny. Do Łańcuta przyjechały z Paryża, jako część spadku po Mikołaju Potockim z linii tulczyńskiej, który umierając bezpotomnie w 1921 roku, zapisał majątek swojemu krewnemu, Alfredowi hr Potockiemu. Jako cenny obiekt, Mikołaj hr Potocki użyczył ich na światową wystawę środków transportu w Paryżu, która miała miejsce w 1900 roku. W Łańcucie również zajmowały honorowe miejsce i były podziwiane przez gości rezydencji łańcuckiej: koronowane głowy Europy, arystokrację, dyplomatów, osobistości i rodzinę. Wywiezione w 1944 roku, do dzisiaj się nie odnalazły.

Z końcem XVIII wieku znikły szlichtady dworskie, ale zwyczaj kuligów niższych warstw społecznych, a szczególnie w Polsce lubiany i kultywowany, utrzymał się bardzo długo. Nawet i teraz jeszcze czasem organizuje się te zimowe zabawy w śnieżną, mroźną zimę. Oczywiście nie mają one charakteru masowego i są ograniczone do przejażdżki po zaśnieżonym terenie wiejskim. Obyczaje te wspominamy dzisiaj z pewną nostalgią.



Kulig, rys. Wrzesław Żurawski.

Don Juan znad Jeziora Chapala



Jezioro Chapala.

Florian Śmieja

Już sam kawaleryjski start z torontońskiego lotniska świadczył o

zuchach przy sterze meksykańskiego samolotu. Jak tylko oderwaliśmy się od ziemi, zadarli oni płaty, by upewnić pasażerów, że trzymają się jeszcze kadłuba, i poszybowaliśmy wzdłuż jeziora Erie, by wkrótce wylądować w Chicago. Tam dosiedli się nowi podróżni, miejsce obok mnie zajął, jak się miało okazać, wysoki oficer meksykańskiej policji. Wdałem się z nim w rozmowę. W rezultacie, po wylądowaniu na lotnisku w Mexico City, polecił mi moją torbę wrzucić na swoje bagaże i bocznymi drzwiami bez jakiejkolwiek kontroli wyszliśmy wśród salutujących mojemu towarzyszowi funkcjonariuszy celnych na ulicę.

Następnego dnia policjant strzegący mojego hoteliku nabrał do mnie szczególnego respektu, kiedy zauważył, że przyjechał po mnie samochód policyjny z urzędowym kogutem na dachu. To dzięki kaprysowi dygnitarza pojawił się jego szofer, by mnie zawieźć do nie znanej mi tolteckiej miejscowości Tula.

Celem mojego wojażu do Meksyku było odwiedzenie i poznanie rodaka, który kilka lat wcześniej odezwał się i napisał list do polonijnego pisma kanadyjskiego, z którym podówczas współpracowałem. Dziwił się on, że odwiedziwszy Meksyk nie opisałem swoich wrażeń i przygód. Wystosował zaproszenie:

> …Na raz następny proszę podczas podróży do mnie wstąpić i

> ma Pan do dyspozycji łódkę, mostek i ryby w wodzie jeziora Chapala. Oprócz tego klimacik cały rok okrągły i jak w raju, a nie na ziemi.

Ponieważ minęło kilka lat zanim mogłem puścić się w drogę, powiadomiłem o tym listownie zapraszającego. Dokładnie objaśnił mi jak do niego trafić. Szosą z Mexico było 585 km więc wybrałem nocny autobus do Guadalajara, by stamtąd innym autobusem zrobić 125 km w odmiennym kierunku. Jechałem do 73 letniego emeryta, jak donosił, „chłopaka ze wsi podkarpackiej, poszczerbionego kulami partyzanta ze zgrupowania Jędrusiów, dziękującego Opatrzności za każdy ukradziony dzień życia".

W liście do mnie mitygował szczerze swoje wcześniejsze obietnice i studził nieco moje zapały. Na pytanie, czy ryby w jeziorze biorą, odpowiedział prosto: "Te, co brały, dawno z wody wyciągnięte i zjedzone, a młode nie rosną, bo jezioro co roku to dalej od brzegu".

I tak po długiej podróży autobusem i przesiadce w Guadalajara znalazłem się na miejscu. W jednej z trzech pięknych willi, zbudowanych między szosą a jeziorem, w białym budynku z czarnym dachem, zastałem wysokiego, szczupłego, siwiejącego mężczyznę w białym sombrero, o oczach chabrowych, człowieka

jowialnego i bezpośredniego. Jego przybrana kilkunastoletnia córka wraz ze służącą próbowały akurat długim bambusem strącać owoce *pitaya* z kandelabrowego kaktusa stojącego przed domem.

Ponieważ na imię było mu Jan, stał się lokalnie znany jako Don Juan, a ponieważ był biały, to gringo. A znalazł się w Meksyku przypadkiem. Kiedy armia czerwona przewaliła się przez Polskę, antyniemiecka partyzantka nieraz zmuszona była walczyć z nowym okupantem i współpracującymi z nim organami PRLu. Z czasem jednak opór stał się nie tylko ogromnie niebezpieczny, ale wręcz beznadziejny. Pod węglem partyzant Jan przedostał się szczęśliwie do Szwecji. Były to czasy zimnej wojny i potrzebni byli ochotnicy do dywersji. Zaczęli ich szkolić Amerykanie w Europie. Kiedy jednak nastąpiła odwilż polityczna i koła historii potoczyły się w innym kierunku, ochotnicy stali się już zbędni. Jan otrzymał prawo osiedlenia się w Stanach Zjednoczonych. Bez języka i bez fachu w ręku, do tego ciężko schorowany, znalazł się w nowym kraju bez perspektyw, a lekarz dał mu sześć miesięcy życia.

W tej sytuacji wraz ze znajomym Niemcem, również nie mającym nic do stracenia, starym samochodem wybrał się do Meksyku. Przejechali cały kraj w poszukiwaniu sprzyjającego klimatu. Znaleźli go nad jeziorem Chapala w stanie Jalisco niedalego miasta Guadalajara na wysokości 1500 m nad poziomem morza.

Jan postanowił się tam osiedlić.

Opodal miasteczka Tizapán el Alto między drogą do Guadalajary a jeziorem leżały skrawki nieużytków, głównie kamienie. Należały do lokalnego bogacza. Ten, kiedy doniesiono mu, że jakiś gringo interesuje się jego *piedras*, kamiennym terenem, nie chciał nawet słyszeć o sprzedaży. Gdy petent ponawiał chęć kupna, właściciel, by się go pozbyć, wymienił niewiarygodną sumę miliona pezów.

Jakież było jego zdumienie, kiedy gringo ofertę przyjął. Za nikomu niepotrzebne „kamienie" zdumiony sprzedawca otrzymał wielkie pieniądze. Ale Jan też nie był w ciemię bity i swe kalkulacje miał. Kurs dolara był wtedy wysoki, znalazła się rodzina, która pomogła. Ziemię podzielił na trzy działki i dwie sprzedał po korzystnej cenie. Na trzeciej postawił wygodny budynek dla siebie. Z Don Juanem zaczęto się w okolicy liczyć.



Meksyk

Położenie domu nad jeziorem umożliwiło założenie irygowanego ogrodu. Kiedy pociągnięcie normalnej linni elektrycznej nastręczyło trudności, przemyślny Don Juan nocą zawieszał druty na biegnące wzdłuż szosy przewody elektryczne, uruchamiał pompę, a przed świtem zdejmował druty i troskliwie zwinąwszy chował daleko od domu. I wody z jeziora miał pod dostatkiem.

Był też pierwszym na miejscu posiadaczem sprzętu do

wykrywania metali. rozchwytywanym przez amatorów szukających zakopanych pieniędzy i kosztowności z czasów rewolucji. Szperał też na własną rękę i z powodzeniem. Z czasem jednak stał się ostrożniejszy. Zgodziwszy się kiedyś pojechać w góry szukać z innymi skarbu przeżył niemiłą przygodę. Kiedy już ustalił miejsce i odkopał pierwsze monety, jeden z uczestników wyprawy wydobył rewolwer i kazał mu zmykać. Były partyzant był sam bez broni, więc ze słowami *seniores* roztropnie się wycofał.

Broń po prawdzie miał i ponoć był to jego stary pistolet jeszcze z partyzantki, ale w Meksyku Don Juan wolał zachowywać wielką ostrożność. Nieraz policja ofiarowywała mu broń, ale on był przekonany, że zaraz po transakcji przyjdą po nią, skonfiskują a jego zaaresztują... Wolał nie ryzykować. Wymawiał się, że jest człowiekiem spokojnym, który broni nie potrzebuje. Nawet inspirowane kradzieże i włamania nie postkutkowały. Trzymał się z dala i koniec.

Tizapán, Meksyk.

W czasie jednego z moich pobytów w Tizapán na ulicach zaczęła się strzelanina: policja uzbrojona w karabiny ścigała kogoś czy po prostu chciała społeczność zastraszyć, bo zbliżały się lokalne

wybory. A z wyborami to w Meksyku jest zawsze cyrk.

Rządząca od czasów rewolucji Zinstytucjonalizowana Partia Rewolucyjna (Partido Revolucionario Institucional) nic sobie nie robiła z rezultatów wyborów tam, gdzie ich wygrać nie potrafiła. Po prostu nie oddawała władzy i siłą uśmierzała protesty przeciwników. Opozycja na próżno mobilizowała wyborców, kiedy zazwyczaj po przegraniu wyborów partia rządząca nie odchodziła, nie przekazywała kluczy, a wojsko i policja robiły porządek. Zdarzało się prawem wyjątku, że tu i ówdzie zdesperowane kobiety miotłami przepędzały zasiedziałych marksistów. Ale takie wypadki należały do drobnych ustępstw i atrakcji dla społeczeństwa trapionego nędzą i korupcją rządzącej monopartii oraz ogólnym chaosem.

Carmen, przybrana córka Don Juana była Indianką ze szczepu Tarasca. Nazywała go pieszczotliwie *papi*, co nie wystarczało, by ją przestał poganiać często do sprzątania i innej domowej roboty. Była to jednak szorstkość udawana, bo w rzeczywistości strzegł jej jak oczka w głowie i cały majątek jej zapisał. U niego oglądałem wśród innych precjozów dużą kamienną głowę o czterech twarzach, meksykańskiego światowida, znalezioną na cmentarzysku oraz mixteckie żarna z wulkanicznego kamienia cudnie wyrobione z lewym gwintem, rytualne naczynie, ostrza strzał i włóczni, ofiarny nóż z czarnego obsydianu. Byłem z nim, kiedy nabył statuę bożka, który mu się z miejsca spodobał. Z

przymrużeniem oka napomknął, że nie zdziwiłby się wcale, gdyby się okazało, że we wnętrzu znajdzie szlachetne kamienie lub złoto.



Meksyk, agawa.

Nasz partyzant osiedliwszy się w Meksyku wkrótce dał się poznać jako spolegliwy doradca i hojny mecenas. Najchętniej wspierał zakonnice opiekujące się sierocińcami. Kiedy raz zagadnięty, dlaczego sam nie zaadoptuje sobie dziecka, zgodził się i poprosił o niemowlę płci żeńskiej. Takie się wnet znalazło a on zatrudniwszy dwie służące przyjął je do swojego domu.

Powstał problem nazwiska dla dziewczyki. Don Juan bez wahania

użyczył swojego, ale potrzebne jeszcze było nazwisko matki. Całą swoją swadą udało mu się przekonać młodą zakonnicę, by dla Boga i dla sieroty użyczyła swojego nazwiska. W ten sposób Carmen w papierach ma ojca i matkę. Nie było też większego zmartwienia z chrztem. Ksiądz proboszcz nie bardzo palił się do urządzenia uroczystości dla takiej znajdy. Don Juan poważnie przytakiwał głową jego wątpliwościom i zastrzeżeniom, ale równocześnie wydobył kilka banknotów i położyl je na stole ze słowami: *Ale cóż to bezgrzeszne dzieciątko temu winne, że w takiej sytuacji przyszło na świat?* Ksiądz widząc pieniądze łacniej zgodził się z jego sentymentem i odbył się huczny chrzest.

Don Juan nadal nie zapominał o sierocińcach w Morelia, Zamora i Ciudad Granja. Powiadał, że miał dużo szczęścia w partyzantce, przeżył pościgi i bez szwanku wyszedł z zasadzek, że udało mu się podreperować zdrowie w Meksyku, że prowokował na nowo swoją fortunę i wygrał, bo zakonnice i sieroty modliły się w jego intencji. Wilie chętnie spędzał w sierocińcu w Zamora, skąd pochodziła jego przybrana córka. Oboje pojawiali się w nim z koszem owoców i ogromnym ciastem, które Carmen kroiła i rozdawała swoim mniej fortunnym zakładowym siostrom i braciom.

Osiadłszy pod Gadalajarą Don Juan najpierw poszukał indiańskiego znachora. Przeżywszy w partyzantce w Polsce operację płuc w majątku Niziny nad Wisłą przywiązany do drzwi

przez lekarzy współpracujących z podziemiem, a ta operacja kosztowała go pół płuca i kilka żeber, wytrzymał również zabiegi i rytuał czarownika, a nawet z czasem nauczył się od niego ziołolecznictwa, założył ogródek z ziołami i sam zaczął leczyć innych.

Szybko wykaraskał się z gnębiącego go ustawicznie wysokiego ciśnienia. Wybrał sobie dietę i sumiennie ją stosował. Pamiętam jak nawet pomidory najpierw gotował, a potem obierał ze skórki przed spożyciem. Przyrządzał jedzenie po partyzancku i po starokawalersku, ale przede wszystkim rozsądnie i zdrowotnie wedle dobrego rozeznania.

Rano po wypiciu o siódmej godzinie filiżanki swojskiej herbaty ziołowej jechaliśmy do miasteczka Tizapán położonego jakieś dwanaście kilometrów na wschód również nad jeziorem Chapala. Tuż przed miejscowością był posterunek wojskowy: na szosie trzeba było zwolnić, by przejechać przez przeszkody specjalnie wmurowane w poprzek jezdni, dla zatrzymania ruchu. W przydrożnych bunkrach żołnierze w hełmach i z bronią w ręku pilnowali porządku. Dawniej rewidowali każdy pojazd, ostatnio, po zastrzeleniu dwu młodych ludzi, którzy chcieli brawurowo sforsować przeszkodę, już tylko obserwowali.

W Tizapán, znaczącym „ziemia chlebowa”, chodziliśmy codziennie na targ, na którym kupowaliśmy świetne i chrupkie

bułki, trochę mięsa, jajka, a przede wszystkim pomidory, pomarańcze, banany, melony i papaje.

Automat wyrabiający placki kukurydziane, tortillas, obsługiwały dwie dziarskie Metyski. Uśmiechając się przyjaźnie polecały mi swoje placki. Odpowiedziałem, że nie mam z sobą pieniędzy. To dostanę na próbę za darmo. Tłoczone z pojemnika ciasta na ruchomą taśmę z dużą szybkością przechodziły nad gazowymi palnikami i już upieczone układały się na stosie. W te placki zawija się różne przyprawy, mięsa i sałaty, by powstała jedna z ulubionych meksykańskich potraw.

Teresa Garcia, jedna ze sprzedawczyń, wręczyła mi z taśmy trzy placki, a ja jej dałem na pamiątkę kanadyjskiego centa. Zapytała o moje imię, chciała wiedzieć, co porabiam, gdzie bywam. Szczuplutka, żywa i rezolutna westchnęła „Piękna musi być Kanada” i zaraz dodała: „i Polska”. Kto wie też, jakie sobie snuła marzenia i jakiej melancholii nabawił się ten sympatyczny podlotek.



Meksyk.

Ciężkie warunki życia skłaniają wiele kobiet w Meksyku do wiązania się z osiedlającymi się w tych stronach cudzoziemcami, najczęściej Amerykanami i emerytami, oferując im najtroskliwszą opiekę i czułość za dach nad głową i ludzkie traktowanie.

Odwiedzałem tę przyjazną polską oazę kilkakrotnie. Z domu Don Juana mogłem jeździć po okolicznych stanach. Interesowały mnie szczególnie górskie krainy, które w latach dwudziestych i trzydziestych były teatrem zażartych i krwawych walk między lokalnymi chłopami tzw. *cristeros* a wojskiem rządowym. Wyszukiwałem dawne gniazda powstańców i rozmawiałem z byłymi kombatantami będącymi w bardzo już podeszłym wieku.

Zjeździłem w ten sposób autobusami stany Michoacán, Jalisco i Colimę.

Meksykanie jeżdżą głównie autobusami. Dworce autobusowe niektórych miast są malowniczą i ważną instytucją społeczną. W większych miastach są osobne dworce pierwszej i drugiej klasy. Często różne linie oferują kursy do tych samych miejscowości, wtedy obsługa autobusu bardzo agresywnie kaptuje sobie klientelę. Wygodne i bezpieczne są klimatyzowane pojazdy pierwszej klasy używane głównie przez zamożniejszych Meksykańczyków oraz turystów. Ogół jednak i młodzi turyści jeżdżą tanimi, odrapanymi i brudnymi autobusami bez chłodzenia, zatłoczonymi i hałaśliwymi. Ścigają się one niebezpiecznie z równie mało sprawnymi ciężarówkami i jak sfatygowane bombowce wracające z trudem do bazy zajeżdżają na dworce, gdzie czeredy chłopców opadają je z mrożonkami, lodami, sokami, owocami i ciastkami.

Patrzałem na tę aprowizację z zazdrością. Napiłbym się nieraz chętnie soku czy zjadłbym lody, bo upały duże i brak przeciągu w zatłoczonych autobusach, ale bałem się wody. Nie miałem odporności tubylców, którzy pili do woli i pałaszowali zakurzone placki. Ostrożność była wskazana i roztropna.

Choć licho płatni i pracujący w fatalnych warunkach kierowcy wydali mi się znakomici. Nieraz zresztą musieli oni przemieniać

się w mechaników. Autobusy psuły się nagminnie, a wysławszy pasażerów na małą przechadzkę, obsługa brała się do naprawy i najczęściej wychodziła z problemu zwycięsko, wołała pasażerów i niejednokrotnie dojeżdżała do celu na czas wedle przysłowiowego „Lepiej trupem, ale na czas".

Jeździłem tymi autobusami namiętnie. Pędziła mnie jakaś niespokojna energia, czułem radość, że znajdowałem się w dzikim krajobrazie, że byłem sam. Miałem czas, czekanie nie było przykre, nie wadziłem nikomu. Nauczyłem się cierpliwości. Potrafiłem godzinami siedzieć na kamieniu i czuć się częścią krajobrazu.

Nauczycielami nieraz byli Indianie i Metysi. Ich sposób bycia potrafił zaimponować. Czasem zaskakiwały mnie ich słowa. Kiedy raz w cieniu drzew czekałem na skrzyżowaniu dróg na autobus z Guadalajary, dołączyl do mnie starszy Indianin. Po wymianie pozdrowień poskarżyłem się, że czekałem już parę godzin, na co on odpowiedział z flegmą: „No to, señor, będziesz już czekał krócej".



Meksyk, sztuka prekolumbijska.

Meksyk to kraj rozległy i ludny, górzysty bardzo i obfitujący w wulkany, położony między dwoma oceanami, każdy jego stan (a Meksyk ma ich 27) zaskakuje czymś odrębnym i fascynującym. Z zapylonej pustyni wyjeżdża się na urodzajną równinę, na płodne czerwone ziemie pełne zboża, kukurydzy i warzyw. Ale obok nowoczesnych traktorów i maszyn rolniczych widzi się nadal tabuny koników i osiołków słaniających się pod ciężarem ładunków, często długich żerdzi czy desek przytroczonych do siodła i włóczonych po ziemi. Fauna Meksyku jest bogata: w powietrzu ustawicznie kołują sępy. Czarne kolibry uwijały się przy kwiatach kolczastych krzewów, ludzie kamieniami strącali cierpkie owoce, by je żuć. Dużo żółtych, czarnych i nakrapianych

motyli, egzotyczne dla nas iguany, a przez dzień cały słychać gwizd i szum owadów oraz rechot żab. Ropuchy wydają odgłosy, które łatwo brać za szczekanie psów.

Wybrane miejsce i tryb życia wybitnie Don Juanowi służyły, choć pędził życie w dużej mierze samotnicze i tylko wyjątkowo zaglądali do niego ludzie z północy. Raz na przykład zawitał dyplomata, podróżnik i pisarz Jerzy Giżycki w drodze do Indian w Oaxaca, wśród których pozostał do śmierci. Kiedy Don Juan przekroczył osiemdziesiątkę nadal cieszył się znakomitym zdrowiem śmiejąc się, że o istnieniu w jego ciele dwu niemieckich kul wie tylko Herr Rhoentgen. Te kule złapał, kiedy osłaniał angielski desant w Polsce i dzień cały w szuwarach przeleżał, zanim ściągnięto go do majątku na operację. Opisywał, jak się jeszcze ścigał na rowerze z urwisami. Zjadał lekkie śniadania, szedł do ogrodu i pasieki, a także do dawnego domu, bo nowa właścicielka owdowiała i potrzebowała pomocy, więc się tym domem opiekował. Pamiętam, jak siadywaliśmy tam razem wieczorami spogladając na piękną posiadłość, która mu dała nie tylko przystań i zabezpieczenie starości, ale przede wszystkim przywróciła sens życiu i podreperowała zdrowie. Świetne powietrze i ładny widok na jezioro uleczyły duszę. A było na co patrzeć: nad kwieciem buganwilii uwijały się duże motyle żółte i czarne, cynobrowe i bure, kolibry przeglądały roślinę zwaną *agua vera*. Z własnych agaw spijaliśmy mleko, *mezcal*, od którego zdaniem lokalnych Indian rosną płuca. Tym mlekiem

nieraz muszą się zadowolić dzieci indiańskie. Na chudym drzewie dojrzewały papaje, żabki i świerszcze grały bez końca, z suchym trzaskaniem chybotały się pióropusze palm, raz po raz osuwały się ciężkie liście drzew zrzucających swoje sezonowe okrycie. Nad brzegiem żeglowały czaple i żórawie, z wody ozywały się kaczki i kurki. Don Juan żył spokojnie i szczęśliwie, jak u Pana Boga za piecem i kto patrzył na wyciszonego mężczyznę polewającego swój ogród, nie podejrzewał pod sielskim obrazkiem dramatycznej i niebezpiecznej przeszłości. Lekarza nie znał, miał swoje ziółka we własnym ogródku nie tylko dla siebie, ale i dla innych. Napisał, że po ziółka przychodziły też młode dziewczyny, aby spędzić płód, bo bały się, że je ojcowie zabiją, jak się dowiedzą o ciąży.



Meksyk.

Niektorym młodym kobietom proponował inne rozwiązanie. Zamiast ziółek zalecał tym, które były w ciąży nie dłużej niż dwa miesiące, wyjazd do Stanów Zjednoczonych, względnie Kanady, i oddanie dziecka za zapłatą ludziom, którzy na dziecko czekali. Wysłał już w ten sposób jedenaście dziewcząt. Tłumaczyl mi:

> Taka samotna para bez dzieci daje w liście zaproszenie dla dziewczyny na odwiedziny razem z gwarancją utrzymania. Dziewczyna po przyjeździe do USA czy Kanady pracuje u

> krewnych przyszłej mamy, aby nie wiedziała, gdzie jej dziecko będzie adoptowane. W klinice rejestruje się na imię przyszłej mamy i rodzi. Po wyjściu z kliniki oddaje dziecko i otrzymuje zapłatę i bilet do Guadalajara. Jak dotąd to się zadowalają trzema tysiącami dolarów. Powraca ‘całka’ jak wyjechała i ani *novio se da cuenta* (narzeczony się nie zorientuje), co się z Lupitą stało. A rodzice jacy zadowoleni, że postarałem się o dobrą pracę, bo za siedem albo osiem miesięcy dziecko zarobiło kupę dolarów.

Sprzedawszy swoją willę nad jeziorem Don Juan wprawdzie kupił dom w Tizapán, ale niekiedy snuł plany, by przenieść się do Europy, albo do Kanady, gdzie miał braci. Lecz kiedy go obserwowałem, jak chodził na targu wśród przekupek i jak rozprawiał na skwerze miasteczka, jak radził przybywającym do niego ludziom i tęsknie spozierał na jezioro Chapala, rozumiałem, że w istocie ukochał on niepewny, ale męski tryb życia meksykańskiego i że właśnie tam partyzant spod Mielca znalazł swoje piękne przeznaczenie.

Mityczny Don Juan był postrachem kobiet i ich pogromcą. Jego imiennicy cieszą się opinią uwodzicieli i wyzyskiwaczy. Nasz Jan natomiast był ich obrońcą i dobroczyńcą. Jego dobra fama nie prędko ucichnie w gorącej ziemi Jalisco.

Co dalej z karetami króla Jana III Sobieskiego?



Wystawa „W purpurze i złocie. Karety paradne króla Jana III

Sobieskiego” w Wozowni przy pałacu w Pszczynie, fot. Wrzesław Żurawski.

Wrzesław Żurawski

Wiosną 1980 r. media zainteresowały się opracowaniem dziejów ambony z Radacza koło Szczecinka przez Teresę Fabijańską-Żurawską, kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, zajmującą się historią pojazdów konnych. W „Spotkaniach z Zabytkami” ukazał się obszerny artykuł na ten temat (Teresa i Wrzesław Żurawscy, *Karety Jana III Sobieskiego*, nr 1, 1983, s. 47-50). Ambona od zawsze była owiana legendą, jakoby kiedyś była wozem tryumfalnym Jana III Sobieskiego, otrzymanym po wiktorii wiedeńskiej od wdzięcznego cesarza Leopolda I. Badania samego obiektu oraz wielu źródeł historycznych wykazały, że wdzięczności cesarskiej nie było, natomiast ambona składa się z elementów trzech karet zrabowanych w Oławie rodzinie Jakuba Sobieskiego. Dokonał tego w 1741 r. pruski generał Alexander von Kleist, po czym zafundował w swym protestanckim kościółku kolatorskim w Raddatz ambonę, nie ukrywając, że wiąże się ona z osobą Jana III. Szczęśliwie przetrwała liczne wojny. Po 1945 r. zdemontowana, przechowywana w Szczecinku, trafiła po 1960 r. do Wilanowa.

Muzeum Narodowe w Warszawie, do którego należał wówczas

Wilanów, wysłało ambonę w depozyt do Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, gdzie była eksponowana od 1966 do 1983 r. Fragmenty zespołu ambony nadal pozostawały w Wilanowie.



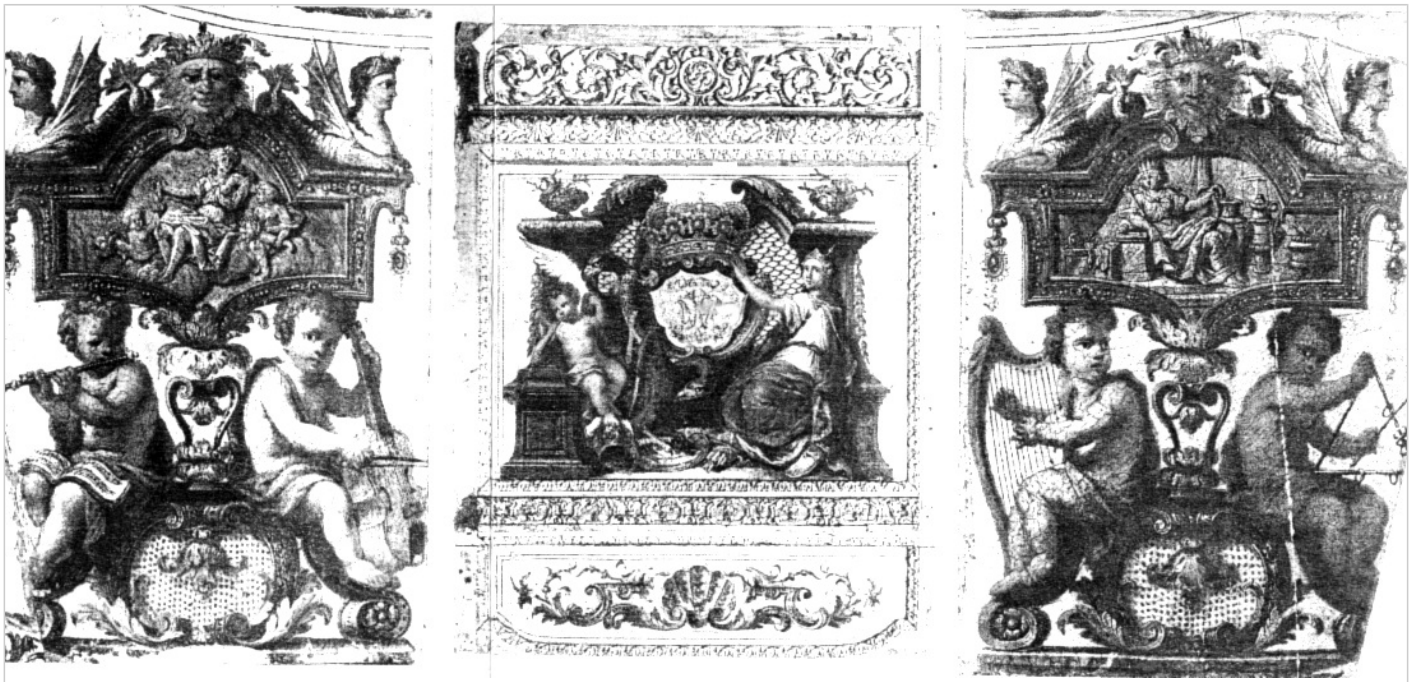
Fragment malowidła na drzwiach karety paradnej.

Teresa Fabijańska-Żurawska musiała długo przekonywać, że ambonę wykonano z elementów nadwozi trzech karet królewskich i należy podjąć próbę ich rekonstrukcji. Zainspirowany tymi ustaleniami zebrałem materiał fotograficzny i rysunkowy w czasie pobytu w Muzeum Karet w Lizbonie w

1981 r. i wykonałem inwentaryzację jednej z karet francuskich z drugiej połowy XVII w. w tamtejszych zbiorach. Prace badawcze kontynuowałem w Lizbonie podczas dziewięciomiesięcznego stypendium Fundacji Calouste'a Gulbenkiana w latach 1982-1983. Przygotowania te pozwoliły na pierwszy etap prezentacji elementów karet w ramach wystawy „Chwała i sława Jana III Sobieskiego" w Pałacu Wilanowskim jesienią 1983 r. Ambona została przywieziona ze Słupska do Wilanowa i rozebrana. Złocone rzeźby, listwy i płyciny z dekoracją malarską były eksponowane na tle dużej sylwetki karety w konfiguracji wskazującej ich pierwotne położenie. Teza, że mamy elementy z trzech karet obroniła się.

Na odwrocie jednej z płycin snycerowanych pozostała data *„1692 Die 23 January"* wskazująca, że karety pochodziły z ostatniego okresu życia króla Jana, a program ikonograficzny przedstawień malarskich wyraźnie miał przekonać oglądających do właściwego wyboru następcy tronu, czyli królewskiego syna Jakuba Sobieskiego. Wszystkie trzy karety były pojazdami paradnymi i występowały zapewne razem przy większych okazjach. Jedna z nich, mogąca pochodzić z warsztatu gdańskiego, została roboczo nazwana Tryumfalną. Przedstawienia malarskie, takie jak panoplia oraz postać Herkulesa walczącego z hydrą lernejską, głoszą chwałę zwycięzcy. Druga kareta, nazwana roboczo Osobistą Króla Jana III, niesie opowieść o narodzinach i młodości Herkulesa z użyciem motywu tarczy będącej godłem herbu

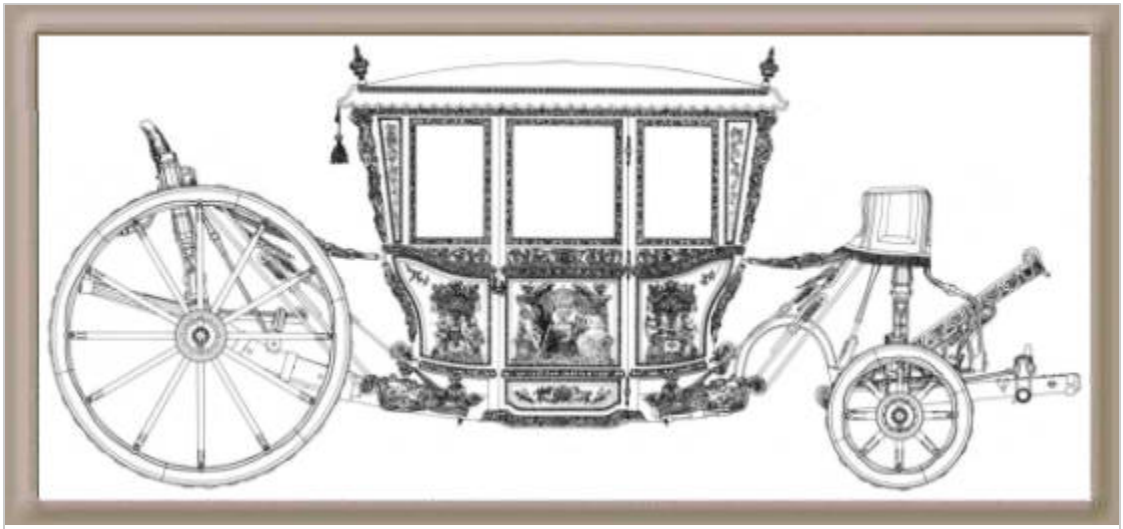
Sobieskich – Janina. Trzecia, bardzo podobna kareta, nazwana Osobistą Królowej Marii Kazimiery, ma monogramy królowej. Karety osobiste króla i królowej były wykonane przez rzemieślników francuskich, na co wskazują napisy. Dekorację malarską mógł jednak wykonać pracujący dla Sobieskich Jerzy Eleuter Siemiginowski.



Malowidła na drzwiach karety królowej Marysieńki.

Po wystawie w 1983 r. ambona z Radacza odeszła w niepamięć, pozostały trzy grupy wstępnie posegregowanych elementów, skrzętnie złożonych w magazynach Wilanowa. Pracownicy Warszawskiego Przedsiębiorstwa Geodezyjnego wykonali społecznie inwentaryzację fotogrametryczną wszystkich elementów.

Minęło 20 lat. Zbliżała się kolejna rocznica wiktorii wiedeńskiej, przypadająca jesienią 2003 r. Pałac w Wilanowie był już niezależnym muzeum i kolejny nowy dyrektor pan Paweł Jaskanis postanowił wskrzesić temat karet Jana III. Zadecydowano, że najlepiej będzie, jeżeli zachowane elementy zostaną wbudowane w odtworzone konstrukcje nadwozi i w ten sposób znajdą się w swojej dawnej roli. Na zlecenie Muzeum Pałacu w Wilanowie zrobiłem szczegółowe opracowanie z numeracją wszystkich zachowanych elementów i określeniem ich funkcji. Równocześnie wykonałem projekt rekonstrukcji nadwozi trzech karet. Trzeba tu podkreślić, że zachowały się jedynie elementy z trzech nadwozi (pudeł) karet, natomiast o podwoziach możemy mieć bogate wyobrażenie na podstawie kilku karet z drugiej połowy XVII w., znajdujących się w zbiorach muzealnych za granicą.



Rekonstrukcja karety paradnej, rys. W. Żurawski.

W Wilanowie ruszyły szybko prace konserwatorskie

przygotowujące zabytkowe obiekty do ich montażu w odtworzonych konstrukcjach szkieletowych. Szkielety pudeł karet oraz częściową rekonstrukcję snycerki wykonała firma Art Reno z Zabrza. Efekt tego wysiłku został zaprezentowany na wystawie, która trwała w Oranżerii wilanowskiej do 2004 r. Została też wydana przez Muzeum Pałac w Wilanowie książka Teresy Fabijańskej – Żurawskiej *Królewskie karety Jana III Sobieskiego*. Niestety, do dziś zabrakło czasu na zakończenie wszystkich objętych projektem czynności konserwatorskich i rekonstrukcyjnych. Niektóre drobne elementy pozostają nadal w magazynie. Wilanów z braku miejsca na stałą ekspozycję nadwozi karet królewskich zmusza je do peregrynacji po innych muzeach. Obecnie znalazły się w Wozowni przy pałacu w Pszczynie w postaci wystawy „W purpurze i złocie. Karety paradne króla Jana III Sobieskiego".

Już od ogłoszenia badań nad amboną z Radacza w 1980 r. różni entuzjaści chcieliby zobaczyć przynajmniej jedną z karet w całości na kołach, w zaprzęgu, na ulicach Warszawy. Nasza wiedza pozwala na daleko posuniętą rekonstrukcję samych nadwozi karet w celu ich wyłącznej funkcji muzealnej. Ten etap, mam nadzieję, uda się zakończyć i pokazać na stałej ekspozycji w Wilanowie, bo tu były używane, by służyć utrzymaniu prestiżu króla i jego walce o sukcesję tronu dla syna.

Rekonstrukcja całych karet z podwoziami byłaby już działaniem

pozamuzealnym. Składałaby się z kopii oryginalnych zachowanych części i byłaby uzupełniona rekonstrukcją kreatywną, na podstawie porównań ze znanymi nam karetami francuskimi z końca XVII w. Zachowały się projekty karet robione przez czołowych francuskich architektów dla Ludwika XIV. Są też obrazy przedstawiające uroczystości z udziałem karet. Na nasze szczęście wymiary karet w tamtym czasie, rozwiązania konstrukcyjne i wielkości kół były prawie identyczne. Cechą epoki baroku było zawsze jednak dążenie artystów do stworzenia niepowtarzalnej dekoracji rzeźbiarskiej i malarskiej pod względem kompozycji, detalu i treści. Dekoracja ta była zarówno na nadwoziach, jak i na podwoziach, bogato rzeźbiono tylne kozły, czyli ramy zawieszenia. Rekonstrukcja całych karet zmuszałaby więc do twórczego rozwinięcia symboliki stosowanej w końcu XVII w., by karety mówiły językiem epoki.

„Spotkania z zabytkami”, 9-10, wrzesień-październik 2016, s.11-12.